


Mariusz Wołos

**SZKIC O POLSKIEJ POLITYCE
ZAGRANICZNEJ
W MIĘDZYWOJENNYM DWUDZIESTOLECIU**

zিয়ে polskiej polityki zagranicznej w międzywojennym dwudziestoleciu podzielić można na pięć podokresów.

Okres pierwszy to lata 1918–1923, a zatem początki państwa polskiego, budowanie aparatu dyplomatycznego, ale przede wszystkim walka o granice Polski Odrodzonej, następnie o ich uznanie na arenie międzynarodowej oraz stworzenie systemu sojuszy, które mimo wszelkich trudności pozostały w mocy do 1939 r., a w przypadku sojuszu polsko-francuskiego formalnie i faktycznie nawet dłużej.

Okres drugi (lata 1923–1926) to czas istotnych przeobrażeń na arenie europejskiej, które nie pozostaną bez wpływu na polską politykę zagraniczną. Posługując się określeniem często stosowanym w literaturze naukowej, a także pamiątkarskiej, możemy te lata nazwać okresem lokarnińskim.

Początek okresu trzeciego (1926–1932) wyznacza zbrojny zamach stanu w Warszawie, a koniec objęcie szefostwa dyplomacji polskiej przez płk. dypl. Józefa Becka. Był to czas względnej stabilizacji w stosunkach europejskich, a nawet spokoju. Głównym celem polityki zagranicznej państwa polskiego było w tym okresie umocnienie pozycji Rzeczypospolitej na arenie międzynarodowej oraz mniej lub bardziej udane próby po-

szukiwania *modus vivendi* w stosunkach z sąsiadami, ze szczególnym uwzględnieniem Niemiec i ZSRR.

Przedostatni okres obejmuje niespokojne lata 1932–1938, poprzedzające wybuch konfliktu światowego, rozpętanego przez sąsiadujące z Polską mocarstwa, czemu polska dyplomacja nie była w stanie przeciwdziałać, tym bardziej że zabrakło wsparcia mocarstw zachodnich. Można na ten okres spojrzeć jednak jeszcze inaczej. Były to lata, w których – w przeciwieństwie do wcześniejszych okresów – polska dyplomacja próbowała szukać własnych rozwiązań, własnych dróg, nie dając się podporządkować trendom narzucanym przez innych. Nie tylko akcentowanie niezależności polskiej polityki, ale i faktyczne niezależne działanie było zgodne z myślą polityczną Józefa Piłsudskiego, kreatora polityki polskiej w latach 1926–1935. Minister Beck, realizator tejże polityki, podkreślał, że Polska *c'est un pays qui se respecte* (to kraj, który się szanuje). Politykę II Rzeczypospolitej w tych latach określa się często mianem „polityki równowagi”. Sądzę, że bardziej adekwatnym określeniem jest polityka „równych odległości”. Jej istotą bowiem była próba utrzymywania dobrych i opartych na bilateralnych układach stosunków z Niemcami i ZSRR, w taki jednak sposób, aby nie zbliżyć się do jednego z nich, ponieważ groziło to oddaleniem się od drugiego.

Ostatni okres to lata 1938–1939, a właściwie niespełna rok poprzedzający wybuch II wojny światowej, w którym załamała się polityka „równych odległości”, a Polska szybko traciła podmiotowość na arenie międzynarodowej, mimo niemałych wysiłków zmierzających do przeciwdziałania tej sytuacji.

* *

Początki polityki zagranicznej Polski Odrodzonej były niezwykle trudne. Trudności te nie wynikały tylko z konieczności

budowania od podstaw własnego państwa, ze wszystkimi konsekwencjami takiego stanu rzeczy, jak choćby brakiem fachowego aparatu urzędniczego, w tym dyplomatycznego. Miały one swoje źródło w niestabilnej sytuacji międzynarodowej, w konfliktach z większością sąsiadów, niechętnie patrzących na aspiracje terytorialne odradzającej się Rzeczypospolitej. Nie bez wpływu na sytuację wewnętrzną pozostawały hasła rewolucyjne płynące zarówno z Rosji ogarniętej wojną domową, jak i z Niemiec, gdzie właśnie obalono monarchię i w wielkim chaosie rozpoczęto budowanie Republiki, zwanej nieco później Weimarską.

Jednym z największych problemów, przed którym stanęło wówczas państwo polskie, było istnienie dwóch konkurujących ze sobą ośrodków władzy. Pierwszym z nich był powołany w sierpniu 1917 r. w Lozannie, ale mający swoją siedzibę w Paryżu, Komitet Narodowy Polski (KNP) z Romanem Dmowskim na czele, formalnie uznany przez zwycięską Ententę za oficjalne przedstawicielstwo polskie. Zdominowany przez działaczy prawicowych spod znaku narodowej demokracji oraz sił konserwatywnych, nie stanowił wszak politycznego monolitu. KNP miał swoje przedstawicielstwa, wykonujące pracę dyplomatyczną i konsularną, w stolicach mocarstw Ententy. I tak w Londynie reprezentował go hr. Władysław Sobański, w Rzymie Konstanty Skirmunt, w Paryżu Erazm Piltz, w Waszyngtonie Ignacy Jan Paderewski. Wszystkie wymienione tu osoby zajęły potem czołowe stanowiska w dyplomacji polskiej.

Drugim ośrodkiem centralnym władzy polskiej był rząd powołany przez Józefa Piłsudskiego w listopadzie 1918 r. w Warszawie, na którego czele stanął wierny mu Jędrzej Moraczewski, a tekę spraw zagranicznych objął świetny znawca Europy Wschodniej, Leon Wasilewski. Rządowi warszawskiemu oraz samemu Piłsudskiemu, już jako tymczasowemu naczeln-

nikowi państwa o faktycznie dyktatorskich prerogatywach, podporządkowały się inne regionalne ośrodki władzy utworzone jesienią 1918 r. Piłsudski i Moraczewski w drugiej połowie listopada podjęli próbę notyfikowania mocarstwom Ententy faktu powstania państwa polskiego. Nie doczekali się jednak odpowiedzi. W Paryżu uznawano jedynie KNP, z którym konsultowano wszelkie sprawy dotyczące Polski. Ponadto obawiano się, że odradzające się państwo będzie marionetką w rękach niemieckich, a nawet posłuży do realizacji koncepcji Mitteleurop, czyli podporządkowania Europy Środkowej Berlinowi. Chętnie przypominano przy tym, że Piłsudski większość wojny światowej spędził w obozie państw centralnych i równie chętnie zapominano, że od lipca 1917 r. był przetrzymywany przez Niemców w twierdzy magdeburskiej za czynne przeciwstawienie się ich planom wobec ziem polskich.

Bardzo szybko miało się okazać, że ów dualizm będzie poważnym hamulcem dla rodzącego się państwa. Inaczej jednak wyglądały problemy międzynarodowe, przed którymi stanęli Polacy, z perspektywy Warszawy, a inaczej z perspektywy Paryża. W Warszawie zdawano sobie sprawę, że najważniejszą kwestią, od której zależy w ogóle istnienie państwa, jest znalezienie *modus vivendi*, a następnie *modus operandi* w stosunkach z Niemcami. A Niemcy nie tylko stacjonowali na ziemiach polskich, ale także otaczali rodzące się państwo polskie od zachodu, północy i wschodu, gdzie stała potężna armia Oberostu. Dla żołnierzy niemieckich z formacji Oberostu, zmęczonych długoletnią wojną, zachęcanych hasłami rewolucyjnymi, ale także świetnie uzbrojonych i bynajmniej nie zdemoralizowanych, najkrótsza droga do domu wiodła przez ziemie polskie. Z perspektywy Paryża problem ten miał znaczenie drugoplanowe, a najważniejszą sprawą było przygotowanie traktatu pokojowego z Niemcami, zwłaszcza zaś zdobycie najkorzystniejszej granicy na zachodzie.

Warto o tych priorytetach pamiętać, tym bardziej że znalazły one wyraz w praktycznych działaniach. Piłsudski nie miał oporów, godząc się na przyjęcie pierwszego posła niemieckiego w Polsce hr. Harry'ego Kesslera (20 listopada – 15 grudnia 1918 r.). Zdawał sobie bowiem sprawę, że z przedstawicielem Niemiec trzeba podjąć jak najrychlej rozmowy o takiej drodze ewakuacji wojsk Oberostu, by wracające oddziały ominęły ziemie polskie lub przejechały przez nie bez zagrożenia polskiej suwerenności. Próbowano także negocjować kwestię połączenia pomiędzy Warszawą a Poznaniem, gdzie funkcjonowała Naczelna Rada Ludowa, mając na uwadze jak najszybsze włączenie Wielkopolski w skład odradzającego się państwa. Innym zagadnieniem podjętym podczas rozmów z Kesslerem była sprawa przepuszczenia przez Oberost oddziałów polskich do Wilna, aby uprzędzić prących od wschodu bolszewików.

Kwestii tych nie udało się jednakże rozstrzygnąć w okresie krótkiej misji posła Niemiec. Dał o sobie znać wspomniany wyżej dualizm. Dla większości członków KNP nawiązanie przez Niemcy stosunków z władzą w Warszawie było jawnym dowodem wchodzenia rodzącego się państwa polskiego w orbitę wpływów Berlina. Podobne oceny formułowali w kraju wcale liczni zwolennicy narodowej demokracji i innych ugrupowań prawicowych, którzy na ulicach Warszawy manifestowali przeciw obecności Kesslera. Nic też dziwnego, że posła niemieckiego poproszono o opuszczenie Polski, zresztą ledwie kilkanaście dni przed wybuchem powstania wielkopolskiego. Odjazd Kesslera faktycznie oznaczał zerwanie stosunków dyplomatycznych między Polską a Niemcami na wiele miesięcy. Dopiero wiosną 1920 r. władze w Berlinie przysłały do Warszawy *chargé d'affaires*.

Pozostały jednak do załatwienia sprawy podejmowane w rozmowach z Kesslerem. Kwestia połączenia z Poznaniem

nabrała innego kształtu po wybuchu powstania wielkopolskiego (27 grudnia 1918 r.). Dzięki powstańcom zajęto zdecydowaną większość dawnej Prowincji Poznańskiej, a zatem Wielkopolski i Kujaw Zachodnich, oddając je pod władanie Naczelnej Rady Ludowej. Niemalą rolę odegrała wówczas dyplomacja polska. Ignacy Paderewski, premier i zarazem minister spraw zagranicznych, w styczniu i w pierwszej połowie lutego 1919 r. słał do Paryża alarmujące telegramy na temat walk w Wielkopolsce i środków stosowanych przez Niemców, w tym gazów bojowych. Przyniosło to wymierny efekt podczas rozmów z Niemcami w Trewirze na temat przedłużenia zawieszenia broni. Wówczas to marsz. Ferdinand Foch postawił stronie niemieckiej ultimatum: albo przerwanie walk w Wielkopolsce, albo rozpoczęcie ofensywy całością sił Ententy na froncie zachodnim (16 lutego 1919 r.). Niemcy musieli zaprzestać działań zbrojnych przeciwko powstańcom, co wcale nie oznaczało, że ostatecznie pogodzili się z utratą dzielnicy poznańskiej.

Niemalże równolegle udało się znaleźć porozumienie z władzami Oberostu w sprawie wycofania oddziałów niemieckich i przepuszczenia Wojska Polskiego w kierunku Wilna. Faktycznie jeszcze w grudniu 1918 r. ustalono, że żołnierze niemieccy będą opuszczać Europę Wschodnią linią kolejową przez Białystok, Grajewo, Olsztyn, Iławę, Toruń, Bydgoszcz, Nakło i Piłę. 5 lutego 1919 r. podpisano tzw. umowę białostocką, którą ze strony polskiej wynegocjowali dr Ludwik Kolankowski jako przedstawiciel MSZ i kpt. Janusz Gąsiorowski jako przedstawiciel władz wojskowych. Niemcy godzili się na przepuszczenie wojsk polskich ku Wilnu, zajętemu już zresztą przez bolszewików, a nawet przekazanie Polakom części uzbrojenia. W zamian uzyskali ułatwienia transportowe w drodze na zachód. Prawdziwe motywy podpisania przez stronę niemiecką tej umowy wyjawiał gen. Hans von Seeckt, który nie ukrywał, że celem

zasadniczym skierowania Polaków do walki z bolszewikami był zamiar odciążenia ich uwagi i sił od Wielkopolski, gdzie trwały jeszcze walki z powstańcami. Trewir przekreślił jednak plany niemieckich wojskowych.

Już pierwsze dyplomatyczne kontakty polsko-bolszewickie były zapowiedzią konfliktu między obu państwami. Zaczęło się dosyć niewinnie od ponawianych kilkakrotnie prób zainstalowania w Warszawie jako oficjalnego przedstawiciela władzy sowieckiej polskiego komunisty Juliana Marchlewskiego. Zdając sobie sprawę z komplikacji międzynarodowych i niechęci mocarstw zachodnich do bolszewików, Leon Wasilewski odrzucił tę propozycję. Z drugiej strony domagał się w listopadzie i grudniu 1918 r. uwolnienia aresztowanych w Rosji przedstawicieli Rady Regencyjnej, których traktował jako oficjalnych polskich reprezentantów.

Na przełomie 1918 i 1919 r. doszło do poważnego zaostreżenia relacji polsko-bolszewickich. Z Warszawy została wyproszone misja Rosyjskiego Czerwonego Krzyża, nie bez podstaw oskarżana przez stronę polską o szerzenie propagandy komunistycznej. Członkowie tej misji zostali zastrzeleni przez konwojujących ich żandarmów w okolicach miejscowości Łapy, a zatem blisko linii demarkacyjnej oddzielającej Wojsko Polskie od oddziałów Armii Czerwonej. Wydarzenie to spowodowało gwałtowną reakcję ludowego komisarza spraw zagranicznych Gieorgija Cziczierina. Do tego wszystkiego w styczniu i lutym 1919 r. Polska znalazła się faktycznie w stanie wojny z Rosją Sowiecką, wojny, której nikt nie wypowiedział, a która miała wkrótce pochłonąć dziesiątki tysięcy ofiar. Przyczyn konfliktu szukać należy bardziej w aspiracjach terytorialnych niżli motywach ideowych. Te ostatnie zaczęły brać górę później, w miarę rozwoju działań zbrojnych. Za początek wojny polsko-sowieckiej uznaje się albo walki Samoobrony Wileńskiej, dowodzonej

przez gen. Władysława Wejtkę, z napierającymi od wschodu regularnymi oddziałami Armii Czerwonej, do których doszło już na początku stycznia 1919 r. na terenie Wilna i jego okolic, albo też pierwsze starcia regularnych oddziałów Wojska Polskiego z bolszewikami w połowie lutego 1919 r. w pobliżu Berezny Kartuskiej.

Początkowo walki nie zapowiadały jeszcze skali konfliktu. Co więcej, podjęto próbę porozumienia się z Sowiecami na drodze dyplomatycznej. Do Moskwy, najpewniej jeszcze w lutym 1919 r., udał się działacz Polskiej Partii Socjalistycznej (PPS) Aleksander Więckowski, mający także plenipotencje MSZ. Jego zadaniem było uwolnienie aresztowanych przez bolszewików przedstawicieli Rady Regencyjnej oraz innych osób narodowości polskiej, a także oddanie pod opiekę neutralnej dyplomacji duńskiej rzesz Polaków przebywających w Rosji. Więckowski, posiadający świetne kontakty w kręgach rewolucjonistów rosyjskich, oba te zadania wypełnił. W swoich działaniach posunął się jednakże znacznie dalej. Zaproponował mianowicie stronie sowieckiej przeprowadzenie na kresach wschodnich plebiscytu, który w sposób najbardziej obiektywny rozstrzygnąłby o przynależności państwowej spornych terytoriów. Trzeba jednak podkreślić, że w tym wypadku Więckowski przekroczył pełnomocnictwa uzyskane z MSZ, kierując się wyłącznie wytycznymi otrzymanymi od władz PPS. Strona sowiecka, za zgodą samego Lenina, przyjęła propozycję plebiscytu. Do jego przeprowadzenia nigdy jednak nie doszło, ponieważ w kwietniu 1919 r. Piłsudski rozpoczął ofensywę, której efektem było zajęcie Wilna i przesunięcie linii frontu daleko na wschód.

Tymczasem wielkimi krokami zbliżał się termin rozpoczęcia konferencji pokojowej w Paryżu, który wyznaczono na 18 stycznia 1919 r. Zdając sobie sprawę z niefortunnego położenia Polski, posiadającej dwa ośrodki władzy, Piłsudski podjął sta-

rania o zmianę tego stanu rzeczy, szukając drogi porozumienia z Dmowskim. W tym celu w końcu grudnia 1918 r. wysłał do Paryża swoich delegatów w osobach Kazimierza Dłuskiego (prywatnie szwagra Marii Skłodowskiej-Curie), Antoniego Sujkowskiego i Michała Sokolnickiego. Mieli oni zostać dokończonymi do składu KNP. Tym samym doszłoby do kompromisu między dwoma ośrodkami polskiej władzy. Sprawy potoczyły się jednak innym nieco torem. Otóż w nocy z 4 na 5 stycznia 1919 r. przedstawiciele prawicy próbowali obalić rząd Moraczewskiego i położyć kres władzy Piłsudskiego. Źle przygotowany zamach stanu zakończył się kompletnym fiaskiem. Uzmysłowił on jednak przedstawicielom prawicy, zarówno tym w kraju, jak i tym w Paryżu, że nie da się obalić czy też obejść Piłsudskiego, a zatem należy szukać z nim kompromisu. Niektórzy historycy uważają, że Naczelnik Państwa wiedział o przygotowywanym zamachu, a nawet go inspirował, chcąc następnie skompromitować jego wykonawców i otworzyć sobie drogę do realizacji dalekosiężnych planów. W efekcie tendencje obu ośrodków władzy wreszcie się zbiegły. Kompromis rzeczywiście szybko osiągnięto. Było nim powołanie 16 stycznia 1919 r., zatem zaledwie na dwa dni przed otwarciem konferencji pokojowej w Paryżu, rządu, na którego czele stanął Ignacy Jan Paderewski, jeszcze niedawno przedstawiciel KNP w Stanach Zjednoczonych. Otrzymał on również tekę ministra spraw zagranicznych. Kto wie, czy powołanie do życia tego gabinetu, które dokonało się na drodze ustępstw tak ze strony Piłsudskiego, jak i Dmowskiego, nie było jednym z największych i najbardziej owocnych kompromisów, a zarazem sukcesów w dziejach Polski w minionym stuleciu?

Szybko też przyniosło efekty w postaci uznania w styczniu i lutym 1919 r. *de iure* państwa polskiego przez mocarstwa Ententy, powołania jednej delegacji na konferencję pokojową (delegatami byli Dmowski i Paderewski, a do czasu jego przy-

bycia do Paryża w kwietniu 1919 r. zastępował go Dłuski), wreszcie rozszerzenia zadań i możliwości dyplomacji polskiej.

Bez wątpienia centrum aktywności dyplomacji polskiej, podobnie zresztą jak i życia międzynarodowego, w pierwszej połowie 1919 r. przeniosło się do Paryża, gdzie trwała konferencja pokojowa (18 stycznia – 28 czerwca 1919 r.), mająca doprowadzić do wynegocjowania i podpisania traktatu z Niemcami oraz przygotowania traktatów z innymi państwami centralnymi. W przeciwieństwie do tego rodzaju konferencji toczonych w XIX stuleciu do stołu obrad nie zaproszono przegranych. Nie zaproszono także bolszewików. Już ten fakt zbliżał ku sobie Niemcy i Rosję Sowiecką, chociaż najprzenikliwsze nawet umysły wiosną 1919 r. nie były w stanie przewidzieć, że kilka lat później negowanie ładu wersalskiego, wypracowanego właśnie podczas paryskiej konferencji pokojowej bez udziału Berlina i Moskwy, będzie platformą porozumienia między Republiką Weimarską oraz Sowietami. Powszechnie liczone się natomiast z rychłym upadkiem władzy bolszewickiej i zwycięstwem rosyjskich białych armii, które cieszyły się poparciem francuskich, angielskich, amerykańskich, japońskich oraz włoskich decydentów. Z tego też powodu sprawami Europy Wschodniej i przyszłej zachodniej granicy Rosji w Paryżu zasadniczo się nie zajmowano, odkładając je na później, aczkolwiek w kuluarach chętnie słuchano reprezentantów emigracji rosyjskiej. Piłsudski doskonale wyczuwał te nastroje. Dlatego też mówił do swoich zaufanych, że sprawa granicy polsko-niemieckiej jest nade wszystko zależna od Ententy, pozostawiając rozgrywkę w tej materii Dmowskiemu. Inaczej podchodził do sprawy granicy wschodniej. W tym przypadku uważał, że wiele, jeśli nie wszystko, zależy od samych Polaków.

Tymczasem Dmowski już na przełomie stycznia i lutego 1919 r. przedstawił w Paryżu postulaty i stanowisko strony pol-

skiej, bynajmniej nie tylko w sprawach przyszłych granic, ale również miejsca i roli odrodzonej Rzeczypospolitej na nowej mapie Europy. Najpierw, wywołany przez przewodniczącego obradom premiera Francji Georges'a Clemenceau, zrobił to w formie ustnej w kilkogodzinnym przemówieniu, które sam tłumaczył z francuskiego na angielski, wzbudzając podziw i zdumienie zebranych, następnie zaś wyłożył postulaty terytorialne w formie pisemnej, adresując je na ręce przewodniczącego komisji ds. polskich Jules'a Cambona. Dmowski żądał dla Polski Śląska Cieszyńskiego, całego Górnego Śląska, Opolszczyzny, powrotu do granic przedrozbiorowych w Wielkopolsce, ziemi złotowskiej, ziemi bytowskiej, całej Kaszubszczyzny, chciał, aby granica polsko-niemiecka przebiegała na wschód od Słupska. Domagał się włączenia Prus Zachodnich z Gdańskiem i rejencją kwidzyńską do Rzeczypospolitej. Postulował oddanie Polsce Warmii i Mazur, zaś Litwie możliwie jak najwięcej terytorium dawnych Prus Wschodnich w rejonie Kłajpedy, wierząc, że znajdzie się ona w jakiejś formie federacji z odrodzonym państwem polskim. W ten sposób chciał ograniczyć do minimum rejon Prus Wschodnich jako niebezpieczny – ze względów geopolitycznych i militarnych – nawis nad terytorium Rzeczypospolitej, stanowiący zarazem punkt wyjścia do przyszłych niemieckich rewindykacji. Dmowski postulował ponadto, aby owa resztką Prus Wschodnich znalazła się pod ścisłą kontrolą zwycięskich mocarstw. Jeżeli uwzględnimy, że kilka tygodni wcześniej, na początku listopada 1918 r., Erazm Piltz całkiem poważnie rozpatrywał linię Koszalin–Gorzów Wielkopolski jako granicę, poza którą miałyby się wycofać oddziały niemieckie po podpisaniu zawieszenia broni, to postulaty terytorialne Dmowskiego uznać należy za umiarkowane, a nawet wstrzemięźliwe w porównaniu z głosami niektórych przedstawicieli KNP. Poniekąd potwierdza to fakt pozytywnego

ustosunkowania się komisji Cambona do polskich żądań, z jednym wszak wyjątkiem – sugestią przeprowadzenia plebiscytu na Warmii i Mazurach.

Szybko jednak okazało się, że postulaty zgłoszone przez Dmowskiego są nie do przyjęcia dla przedstawicieli mocarstw, zwłaszcza zaś dla premiera Wielkiej Brytanii Davida Lloyd George'a. Polityk brytyjski nie kierował się antypatią wobec Polski i Polaków, aczkolwiek nie była mu ona obca. Nade wszystko kierowała nim racja stanu swojego państwa, a tę wyrażała stara angielska zasada *balance of power*. Polskę postrzegał jako klientkę Francji. Francję zaś jako państwo, które po pokonaniu Niemiec, rozpadzie Austro-Węgier, pograżeniu się Rosji w chaosie rewolucji i wojny domowej może zagrozić interesom brytyjskim na kontynencie i w koloniach. Jego kierunek działania był zatem prosty – nie dopuścić do nadmiernej osłabienia Niemiec, jako jedyne go czynnika, który będzie w stanie zrównoważyć potęgę Francji, dążyć natomiast do osłabienia Paryża tam, gdzie to będzie możliwe, czy to godząc w jego interesy bezpośrednio, czy też pośrednio, a zatem na przykład obalając punkt za punktem postulaty Dmowskiego. Trzeba przyznać, że delegacja brytyjska potrafiła przekonać do swoich racji Amerykanów i Włochów. Osamotnieni Francuzi najczęściej oddawali pole Anglosasom, popieranym przez Italię, przy obojętności Japończyków zasadniczo ograniczających swoje zainteresowanie do problemów Dalekiego Wschodu.

Na efekty tych działań nie trzeba było długo czekać. Młoda polska dyplomacja nie miała najmniejszych szans w zderzeniu z większością potęg ówczesnego świata. Najpierw Lloyd George zakwestionował przynależność Gdańska do Polski, pozostając głuchym na argumenty natury gospodarczej, a szeroko szermując statystykami narodowościowymi, wedle których w mieście i jego okolicach zdecydowanie dominowali Niemcy.

Postanowiono zatem, że Gdańsk będzie Wolnym Miastem pod protektorem Ligi Narodów, aczkolwiek Polska zachowa prawa w porcie. Na nic zdały się gwałtowne protesty Dmowskiego i przybyłego do Paryża Paderewskiego. Zaraz za tym poszły brytyjskie postulaty przeprowadzenia plebiscytu na Powiślu, a zatem w rejencji kwidzyńskiej (powiaty: kwidzyński, malborski, sztumski, suski). Już po przedstawieniu delegacji niemieckiej projektu przyszłego traktatu pokojowego, Lloyd George zażądał przeprowadzenia plebiscytu na Górnym Śląsku i ziemi opolskiej. Używał przy tym argumentu trudnego do odparcia przez Francuzów. Zadawał pytanie: w jaki sposób Niemcy mają spłacić reparacje wojenne, skoro pozbawiono ich Zagłębia Saary, Nadrenia ma być okupowana, a na dodatek odbierze się im węgiel i huty górnośląskie? I w tym przypadku Francuzi musieli ustąpić. Wszak bliższa ciału koszula.

Ostatni cios był niespodziewany i okazał się szczególnie bolesny. Dopiero w połowie czerwca 1919 r. Dmowski i Paderewski dowiedzieli się, że jest przygotowywany traktat o ochronie mniejszości narodowych (zwany także „małym traktatem wersalskim”), który miał być narzucony między innymi Polsce. Pozwalał on ingerować w wewnętrzne sprawy naszego państwa i kierować skargi mniejszości na forum Ligi Narodów, a zatem rozpatrywać problemy obywateli polskich na arenie międzynarodowej. Najgorsze w tym wszystkim było jednak to, że przegrane Niemcy nie zostały zmuszone do przyjęcia tego rodzaju traktatu. W praktyce liczna w Niemczech Polonia została pozbawiona opieki międzynarodowej (z wyjątkiem Polaków zamieszkujących Górny Śląsk), natomiast mniejszość niemiecka uzyskała instrumenty niezbędne do obrony swoich praw na forum międzynarodowym. Podejmowane, zwłaszcza przez Paderewskiego, próby nałożenia podobnych zobowiązań na państwo niemieckie zostały odrzucone argumentem, że nale-

żałoby zmienić brzmienie całego traktatu pokojowego, a na to nie ma już czasu. Warto dodać, że w latach 1920–1934 przedstawiciele mniejszości narodowych zamieszkujących terytorium II Rzeczypospolitej złożyli do Ligi Narodów i Międzynarodowego Trybunału Sprawiedliwości w Hadze 318 skarg i petycji (z czego Niemcy aż 300!). Do większości tych skarg organizacje międzynarodowe ustosunkowały się pozytywnie, a zatem na niekorzyść państwa polskiego, tym samym osłabiając jego pozycję. Nic zatem dziwnego, że „mały traktat wersalski” traktowano w Warszawie jako ciasny, uwięrający gorset.

Sejm Ustawodawczy szybko jednak ratyfikował traktat wersalski, a Piłsudski jako głowa państwa złożył pod tą ratyfikacją swój podpis. Pomimo wszelkich niedostatków był to dokument o fundamentalnym znaczeniu dla istnienia państwa polskiego i punkt wyjścia do kształtowania w przyszłości relacji polsko-niemieckich.

Problemy niemieckie i sowieckie nie były jedynymi zagadnieniami absorbującymi uwagę polskiej dyplomacji. W pierwszych miesiącach niepodległości Polska znalazła się w stanie zbrojnych konfliktów z większością sąsiadów. We wszystkich przypadkach były to konflikty o charakterze terytorialnym. Z Zachodnio-Ukraińską Republiką Ludową (ZURL) już od przełomu października i listopada 1919 r. walczone o Lwów oraz Galicję Wschodnią. Dzięki wysiłkowi zbrojnemu udało się w końcu listopada wyprzeć oddziały ukraińskie ze Lwowa, a w lipcu 1919 r. odrzucić je za rzekę Zbrucz, a zatem zająć terytoria należące wcześniej do Austro-Węgier. Od stycznia 1919 r. strona polska znalazła się także w stanie wojny z Ukraińską Republiką Ludową (URL), która poparła zbrojnie ZURL. Do walk z tym państwem doszło pod koniec zimy i wiosną 1919 r. na Chełmszczyźnie i Wołyniu.

Bardzo negatywnie na zajęcie Wilna przez wojska polskie w kwietniu 1919 r. zareagowali Litwini, którzy uważali to miasto za swoją historyczną stolicę i nie wyobrażali sobie budowy własnego państwa bez Wileńszczyzny. Dyplomacja polska starała się zdobyć poparcie mocarstw dla aspiracji terytorialnych na wschodzie, akcentując niebezpieczeństwo bolszewickie, ale jej wysiłki nie przyniosły pożądanych efektów. Z punktu widzenia mocarstw zachodnich jakakolwiek próba poszerzenia stanu posiadania poza teren „etnicznie polski” – jak wówczas mówiono, nie zadając sobie najczęściej zresztą trudu znalezienia precyzyjnej definicji tego pojęcia – groziła konfliktem z przyszłą niebolszewicką Rosją, w której powstanie głęboko wierzone. Stąd był już tylko krok do oskarżeń kierowanych pod adresem Warszawy o polski imperializm i brak poczucia rzeczywistości.

Pierwsze tygodnie i miesiące niepodległości przyniosły również kryzys w stosunkach polsko-czechosłowackich. Kością niezgody były w tym przypadku Śląsk Cieszyński, Spisz i Orawa, ze szczególnym akcentem na ten pierwszy region, jeden z najbardziej uprzemysłowionych w byłej monarchii Habsburgów, a ponadto w większości zamieszkiwany przez ludność świadomą swej polskości. 5 listopada 1918 r. dwie lokalne władze – polska Rada Narodowa Śląska Cieszyńskiego i jej czeski odpowiednik – podpisały umowę, na mocy której większość spornego terytorium przypaść miała Polsce. Umowa ta nie została jednakże uznana przez władze w Pradze i delegatów czechosłowackich w Paryżu. Zarówno Tomáš Masaryk, jak i Edvard Beneš doskonale zdawali sobie sprawę ze znaczenia gospodarczego (pokłady węgla, huty szkła) tego rejonu dla rodującego się państwa czechosłowackiego. Przez Zaolzie wiodło najkrótsze połączenie drogowe i kolejowe (węzeł w Boguminie) pomiędzy Czechami i Morawami a Słowacją. Praga zdecydowała się na krok drastyczny. 23 stycznia 1919 r., ledwie

trzy dni przed planowanym terminem wyborów do polskiego Sejmu Ustawodawczego, których przeprowadzenie byłoby zapewne dla strony polskiej rodzajem plebiscytu i ważkim argumentem na przyszłość, oddziały czeskie zaatakowały słaby polski garnizon i w krótkim czasie zajęły cały sporny rejon. Wojsko Polskie, zaangażowane pod Lwowem, nie było w stanie wyprzeć Czechów ze Śląska Cieszyńskiego. Rozpoczęły się znużone negocjacje, podczas których strona polska żądała wycofania oddziałów czeskich i przeprowadzenia na spornym terytorium plebiscytu. Postulaty te były jednak odrzucane. Czesi mieli poparcie nie tylko Brytyjczyków, ale także Francuzów, a możliwości dyplomacji polskiej okazały się niewystarczające, aby zakończyć konflikt po swojej myśli. Problem przynależności Zaolzia, Spiszu i Orawy stawał się ważką determinantą w polityce Warszawy wobec Pragi. Do tego wszystkiego Polacy mieli poczucie wyrządzonej im z premedytacją krzywdy, która zresztą negatywnie odbiła się na losach ich rodaków mieszkających po drugiej stronie Olzy i poddanych czechizacji.

W sprawie kształtu granicy wschodniej ścierały się dwie koncepcje – inkorporacyjna i federacyjna (federalistyczna). Warto jednak podkreślić, że obie były raczej odległe od dominującego wśród większości Polaków poglądu, że odrodzona Rzeczpospolita winna mieć granice sprzed 1772 r., bo tylko wówczas zostanie naprawiona historyczna krzywda wyrządzona Polakom przez mocarstwa rozbiorowe w XVIII stuleciu!

Autorem koncepcji zwanej inkorporacyjną był Roman Dmowski. Jej załączki istniały już przed wybuchem I wojny światowej. Jednakże lider narodowej demokracji dopracował ją w czasie konfliktu światowego, a zwłaszcza w końcowym jego okresie. Wedle Dmowskiego w granicach odrodzonego państwa polskiego powinno znaleźć się tyle ziem, ile da się spolonizować. Głosił on, że terytoria, na których żywił polski (jego zdaniem

wyższy kulturowo od ludności ukraińskiej czy białoruskiej) stanowi co najmniej 60 proc. i jest w stanie narzucić swoją dominację, winny znaleźć się w granicach Polski Odrodzonej. W praktyce proponowany przez Dmowskiego i jego zwolenników zasięg terytorialny na wschodzie był niemalże zbieżny z przyszłą granicą ryską. Nie trzeba było być znawcą stosunków narodowościowych w tym regionie Europy aby zrozumieć, że postulowane przez endeków co najmniej 60 proc. żywołu polskiego nijak się miało do zgłaszanych propozycji terytorialnych. Liczba ta miała więc nade wszystko wymiar propagandowy. Dmowski, rozumując kategoriami egoizmu narodowego, dzielił nacje zamieszkujące Europę Środkową i Wschodnią na historyczne i ahistoryczne. Pierwsze z nich w przeszłości posiadały swoje państwa i teraz też miały prawo je posiadać, drugie zaś nigdy nie były suwerenne i przywódca endecji w dalszym ciągu odmawiał im prawa do suwerenności. Tym samym Dmowski przechodził do porządku nad postępującym, zwłaszcza w drugiej połowie XIX w., procesem kształtowania się świadomości narodowej Ukraińców, Litwinów czy Białorusinów, który szedł w parze ze wzrostem ich aspiracji państwowych. W tym leżała także słaba strona koncepcji inkorporacyjnej, którą bezwzględnie obnażyły już pierwsze lata istnienia Polski Odrodzonej.

Koncepcja federacyjna lub federalistyczna miała swoje korzenie w czasach powojennych. Wbrew panującym jeszcze i dzisiaj poglądom za jej twórcę trudno uznać Piłsudskiego. Do jej rozpowszechnienia i stworzenia teoretycznych podstaw w największym stopniu przyczynił się Leon Wasilewski. Do grona zwolenników tej koncepcji zaliczyć możemy całkiem pokaźne grono polityków, również spoza obozu belwederskiego. Nie brakowało ich nawet w paryskim KNP, u boku samego Dmowskiego. Zagorzałym zwolennikiem federacji był Pade-

rewski. Koncepcja ta nie była obca kresowym konserwatystom, np. Skirmuntowi czy Piltzowi, aczkolwiek postrzegali ją inaczej niż Piłsudski. Jej istota polegała na stworzeniu, przy aktywnym udziale Polski, niezależnych państw położonych między Rosją a Rzeczpospolitą, które spełniałyby niejako podwójną rolę. Po pierwsze, przez sam fakt istnienia na terytoriach należących ongiś do imperium rosyjskiego osłabiałaby potencjał gospodarczy, społeczny, militarny Rosji, białej czy czerwonej. Po wtóre, stanowiłyby naturalne bufory dla Polski na wypadek agresji ze wschodu i przyjęłyby na siebie pierwszy cios. W interesie Warszawy leżałoby jak najlepsze ułożenie sobie relacji z tymi państwami, które, zagrożone przez Moskwę, w sposób niejako naturalny szukałyby wsparcia nad Wisłą. Jednakże nikt precyzyjnie nie wskazał drogi czy dróg osiągnięcia zamierzonego celu. W tym sensie trudno koncepcję federacyjną uznać za dopracowaną. Dodatnią jej stroną było bez wątpienia uwzględnienie aspiracji państwowych wschodnich sąsiadów, słabą zaś to, że nikt ich nie pytał, czy chcą partycypować w realizacji takowej koncepcji i czy jest ona zgodna z ich racjami. Teoria brała górę nad pragmatyką.

Lata 1919–1921 były rozstrzygające dla prób realizacji obu koncepcji, a co ważniejsze zadecydowały o kształcie granicy wschodniej Polski Odrodzonej. Miało to ścisły związek z dziejami wojny polsko-sowieckiej. Tuż po zajęciu Wilna w kwietniu 1919 r., Józef Piłsudski udał się do swojego ukochanego miasta i wygłosił manifest „Do mieszkańców byłego Wielkiego Księstwa Litewskiego”. Odwołanie się do historycznej nazwy nie było przypadkowe. Piłsudski deklarował, że o przyszłych losach Wileńszczyzny zadecydują sami jej mieszkańcy. Nie chciał narzucać administracji wojskowej „tej ziemi, jakby przez Boga zapomnianej”, lecz administrację cywilną. Niemalże wysiłku włożono w otwarcie Uniwersytetu Stefana Batorego,

a naczelnik państwa udzielił specjalnego pełnomocnictwa w tym zakresie wspomnianemu już dr. Kolankowskiemu, wybitnemu znawcy dziejów jagiellońskich. W gruncie rzeczy jednak wszystkie te deklaracje z wdzięcznością i euforią przyjmowane były tylko przez jedną nację – Polaków. Litwini dostrzegali w nich polskie zakusy, których celem było odebranie im Wileńszczyzny. Obawiali się polonizacji, zepchnięcia ich własnych aspiracji na jakiś odległy plan. O wiele bliższe były im poglądy głoszone w ostatnich dziesięcioleciach XIX w. przez ludzi takich jak Jonas Basanavičius, jeden z twórców litewskiego odrodzenia narodowego, budujący swoje hasła na opozycji wobec polskości, niż odwołanie się do czasów Rzeczypospolitej Obojga Narodów, kojarzonych z polonizacją elit litewskich. Deklaracjami Piłsudskiego nie byli także zainteresowani mieszkający na Wileńszczyźnie Żydzi i Białorusini. Ci pierwsi nie tylko obawiali się polskiego antysemityzmu, ale również byli skutecznie zachęcani przez Litwinów, oferujących nadzwyczaj szeroką autonomię narodowościową w ramach republiki litewskiej. Ci drudzy, mieszkający głównie na wsi, kojarzyli Polaków nade wszystko z ziemiaństwem i innymi warstwami posiadającymi. Dla wielu aktywnych politycznie Białorusinów nieobce były hasła komunistyczne. Z kolei duża część inteligencji wiązała swoje nadzieje z budową Białoruskiej Republiki Ludowej, której przedstawiciele bezskutecznie zwracali się do mocarstw zachodnich obradujących w Paryżu z własnymi programami politycznymi (także federacyjnymi, ale w innym kształcie niż proponowany przez Wasilewskiego i Piłsudskiego), akcentującymi ich odrębność od Polski, Litwy i Rosji. Słowem, zabrakło partnera po stronie litewskiej czy białoruskiej, który podjąłby wspólną z Polakami pracę nad realizacją koncepcji federacyjnej. Potwierdziły to dodatkowo wydarzenia późnego lata 1919 r., gdy po zajęciu Mińska przez Wojsko Polskie

Józef Piłsudski pofatygował się do tego miasta i wygłosił w języku białoruskim przemówienie, zachęcając do politycznego współdziałania, które w praktyce pozostało bez echa.

Lato i jesień 1919 r., kiedy ważyły się losy rewolucji bolszewickiej, były nie lada sprawdzianem dla młodej polskiej dyplomacji. Armia Ochotnicza Południa Rosji dowodzona przez gen. Antona Denikina rozpoczęła ofensywę na Moskwę, wkrótce zajmując Orzeł. Od strony Syberii i Uralu bolszewikom zagrażały oddziały pod komendą adm. Aleksandra Kołczaka. Biali mogli liczyć na wsparcie Ententy. Państwa zachodnie, zwłaszcza Francja i Anglia, rozpoczęły gwałtowne naciski na Warszawę, aby wsparła białych Rosjan w walce przeciwko bolszewikom. Naciski wywierały także kręgi polskiej prawicy, głównie endecja. Prawdą jest, iż bolszewicy poważnie osłabili front zachodni, przerzucając większość oddziałów przeciwko białym. Piłsudski doskonale zdawał sobie sprawę z tego, że zwycięstwo białych będzie dla Polski szczególnie groźne. Dawał temu dowody sam Denikin, który na zajmowanych terenach Ukrainy kazał wieszać rosyjskie flagi i głosić przynależność tych ziem do „jedynej i niepodzielnej” Rosji. Co więcej, sugerował niedwuznacznie, aby oddziały polskie operujące na wschód od Bugu czyniły to samo, a zatem wywieszały rosyjskie flagi i głosiły przynależność tych ziem do państwa rosyjskiego. Biali Rosjanie w najlepszym wypadku godzili się na istnienie państwa polskiego, ale tylko w granicach na zachód od Bugu. Z całą brutalnością deptali ukraińskie czy białoruskie aspiracje państwowe. Ich działania zyskiwały pełną aprobatę mocarstw Ententy, czego potwierdzeniem była słynna linia Curzona, przedstawiona w grudniu 1919 r. przez brytyjskiego ministra spraw zagranicznych, wskazująca rzekę Bug jako wschodnią granicę państwa polskiego. Piłsudski rozumiał, że jeśli biali zwyciężą, uzyskają pełne poparcie Zachodu w wyznaczeniu

granicy polsko-rosyjskiej na linii Curzona. Popieranie Denikina godziło zatem w polską rację stanu, oznaczało przekreślenie tak koncepcji inkorporacyjnej, jak i federacyjnej. Z tej perspektywy bolszewicy wydawali się mniej groźni. Nikt ich na Zachodzie nie popierał. Tak naprawdę jak najdłuższy konflikt między białymi i czerwonymi, zgodnie z zasadą „gdzie dwóch się bije, tam trzeci korzysta”, był po prostu Polsce na rękę.

Nic zatem dziwnego, że we wrześniu 1919 r. Piłsudski wydał rozkaz o wstrzymaniu jakichkolwiek działań ofensywnych. Markując wobec Zachodu podjęcie rozmów z Denikinem i chcąc uzyskać informacje na temat wartości bojowej jego oddziałów, nakazał wysłać do białych aż trzy misje – Franciszka Skąpskiego, gen. Aleksandra Karnickiego i Jerzego Iwanowskiego. Najważniejsza spośród nich była misja wywozującego się z armii rosyjskiej gen. Karnickiego, posłana w październiku 1919 r. do Taganrogu. Informacje uzyskane tą drogą były jednoznaczne: Denikin tej wojny wygrać nie może i popieranie go grozi współudziałem w rychłej już klęsce. Równoległe Piłsudski nakazał potajemne rozmowy z bolszewikami. Toczyły się one w Białowieży, Baranowiczach, wreszcie Mikaszewiczach. Stronę bolszewicką reprezentował Marchlewski, wyposażony w instrukcje Lenina. Ze strony polskiej udział w nich brali Aleksander Więckowski, później Michał Kossakowski, wreszcie bliski Piłsudskiemu Ignacy Boerner. Marchlewski nie ukrywał, że głównym zadaniem jego misji jest możliwie szerokie spectrum negocjacji, nie wyłączając zakończenia działań wojennych. Polskich negocjatorów instrukcje upoważniały jedynie do podejmowania rozmów na temat wymiany jeńców, więźniów i internowanych oraz opieki nad obywatelami Rzeczypospolitej. Sytuacja ta uległa zmianie dopiero w październiku 1919 r., kiedy do negocjacji w Mikaszewiczach włączył się Boerner. Postawił on stronie sowieckiej cztery konkretne warunki, traktowane zresztą

jako sprawdzian prawdziwych intencji Moskwy: 1) utworzenie 10 km pasa oddzielającego Armię Czerwoną od Wojska Polskiego, 2) zaprzestanie propagandy komunistycznej w szeregach polskich i na ich tyłach, 3) oddanie Łatgalii z Dyneburgiem Łotyszom, 4) powstrzymanie się od ataków przeciwko oddziałom ukraińskim atamana Symona Petlury. Boerner kilka tygodni czekał na odpowiedź Marchlewskiego, który udał się na konsultacje do Moskwy. Wreszcie Marchlewski oznajmił, że strona sowiecka godzi się na utworzenie pasa neutralnego, zaprzestanie akcji propagandowej, aczkolwiek jedynie tej czynionej „środkami państwowymi”, zaś problemy łotewskie i ukraińskie nie wchodzi w zakres negocjacji polsko-sowieckich i Moskwa nie będzie na ich temat dyskutować z Polakami. Właściwie już w tym momencie odpowiedź Sowietów negowała sens dalszych pertraktacji. Twarda postawa Moskwy miała swoje źródło w zmianie sytuacji na frontach wojny domowej. Armia Czerwona, w dużym stopniu dzięki wysiłkowi takich ludzi jak Lew Trocki, przejęła inicjatywę i zaczęła brać górę nad białymi oddziałami, które z każdym dniem traciły zapal i możliwości bojowe. Negocjacje polsko-sowieckie przerwano w połowie grudnia, przy czym obie strony starały się zrzucić winę za ich fiasko na partnera.

Poruszone przez Boenera problemy, łotewski i ukraiński, wymagają dodatkowej uwagi. Otóż władze Łotwy zwróciły się do strony polskiej z prośbą o pomoc w usunięciu Armii Czerwonej z Łatgalii. Warszawa była tym zainteresowana, ponieważ w okolicach Dyneburga, a zwłaszcza w powiecie iłkujskim, mieszkało sporo Polaków – stąd też warunek postawiony w Mikaszewiczach Marchlewskiemu. W styczniu 1920 r. Piłsudski nakazał wznowić działania bojowe przeciwko czerwonym właśnie w południowej części Łotwy. W wyniku tak zwanej operacji zimowej Polacy wspólnie z Łotyszami usunęli

oddziały Armii Czerwonej i zajęli Dyneburg, pozostawiając w mieście niewielki garnizon. Faktycznie zatem to właśnie Łotysze byli naszymi pierwszymi sojusznikami w tej wojnie. Współpraca z nimi trwała jednak krótko. W Rydze obawiano się, że strona polska, korzystając z nadarzającej się okazji, przyłączy powiat iłkujski do Rzeczypospolitej i niechętnie patrzyli na obecność żołnierzy polskich w tym rejonie. Rychło też Łotysze podjęli tajne rokowania z bolszewikami, zawierając z nimi układ, o którym nie poinformowali Warszawy.

Inaczej wyglądały w tym czasie sprawy ukraińskie. W drugiej połowie 1919 r. głównym partnerem w stosunkach z Polską stał się ataman Petlura, stojący na czele URL. Jego oddziały znalazły się w szczególnie trudnym położeniu, ponieważ były atakowane nie tylko przez białych, ale i czerwonych. Ponadto spychane przez Rosjan stanęły naprzeciwko Wojska Polskiego. Petlura zdawał sobie sprawę, że nie jest w stanie toczyć walk z trzema przeciwnikami. Należało zatem szukać porozumienia przynajmniej z jednym z nich. W przeciwieństwie do białych i czerwonych Polacy powiązani z obozem belwederskim, a zatem sympatycy Piłsudskiego, nie negowali idei niepodległego państwa ukraińskiego, aczkolwiek w granicach na wschód od rzeki Zbrucz. Był to kompromis do przyjęcia dla Petlury, a zarazem platforma przyszłego porozumienia. Petlura był atrakcyjnym partnerem dla Piłsudskiego. Po raz pierwszy bowiem pojawił się poważny polityk, wraz z którym można było podjąć trud realizacji koncepcji federacyjnej. Negocjacje polsko-ukraińskie toczyły się już jesienią 1919 r. Nabrały jednak tempa wiosną 1920 r. Porozumienie polityczne pomiędzy Polską a URL podpisano 21 kwietnia tegoż roku, a trzy dni później uzupełniono je konwencją wojskową. Spieszono się, ponieważ 25 kwietnia rozpoczęła się operacja wojskowa, której celem było usunięcie Armii Czerwonej z terenów Ukrainy, znana bardziej

pod nazwą „wyprawy kijowskiej”. W sensie militarnym miała ona uprzedzić ofensywę przygotowywaną przez bolszewików na północ od bagien poleskich. Nas interesuje bardziej aspekt polityczny całego przedsięwzięcia. W Belwederze liczone na przychylny stosunek ludności ukraińskiej do wkraczających oddziałów polskich, którym towarzyszyła armia URL. Zderzenie z praktyką było jednak brutalne. Co prawda już 7 maja 1920 r. większość Kijowa została zajęta, a dwa dni później odbyła się na Kreszczatiku defilada oddziałów polskich i ukraińskich przed Petlurą i gen. Edwardem Śmigłym-Rydzem, ale zdecydowana większość Ukraińców odnosiła się do Wojska Polskiego niechętnie, a w najlepszym przypadku obojętnie. Chociaż mało kto jeszcze to rozumiał, sukces militarny był załączkiem politycznej klęski i przekreśleniem koncepcji federacyjnej. Od pamiętnej wiosny 1920 r. Piłsudski nie podejmował już działań w szerszej skali na rzecz realizacji koncepcji federacyjnej, chociaż miał po temu okazję kilka miesięcy później podczas pertraktacji ryskich. Marszałek zrozumiał, że na realizację owego planu w ówczesnych realiach po prostu nie było szans. Warto także podkreślić, że to Ukraińska Republika Ludowa była pierwszym politycznym i wojskowym aliantem Polski Odrodzonej, na długo przedtem zanim zostały nimi Francja czy Rumunia. Sojusz ten nie zawiódł zresztą w najtrudniejszych momentach wojny polsko-sowieckiej, a żołnierze Petlury wiernie stali do końca u boku Polaków.

Już w początkach czerwca 1920 r. Wojsko Polskie musiało opuścić Kijów. Bolszewicy ściągnęli na front posiłki, w tym traktowaną jako miecz rewolucji I Armie Konną dowodzoną przez Siemiona Budionnego. Losy wojny zaczęły się odwracać. W ciągu kilku miesięcy Armia Czerwona stanęła u bram Warszawy, a Lenin pisał do Józefa Unszlichta 15 lipca 1920 r.: „naprężamy wszystkie siły, aby dobić Piłsudskiego”. Na na-

czelnika państwa i naczelnego wodza zewsząd zresztą sypały się gromy. Zachód oskarżał go o imperialne zakusy, także rodzimi przeciwnicy, jeszcze niedawno wiwatujący na cześć Piłsudskiego po zajęciu Kijowa i porównujący go do Bolesława Chrobrego, teraz nie szczędzili mu gorzkich słów i brutalnych personalnych ataków.

Tragiczna sytuacja na froncie wymagała podjęcia działań dyplomatycznych, których celem było zdobycie poparcia mocarstw zachodnich. Gra tak naprawdę szła o zachowanie suwerenności i niepodległości państwa polskiego. Już zimą 1920 r. minister spraw zagranicznych Stanisław Patek podjął próbę uzyskania poparcia Paryża i Londynu dla przygotowywanych działań zbrojnych na Ukrainie. Zabiegi te zakończyły się fiaskiem, a polski polityk usłyszał, że wyjście poza granice etnograficzne wcześniej czy później zakończy się konfliktem z Rosją, w którym mocarstwa zachodnie bynajmniej nie mają ochoty partycypować. Latem sytuacja jeszcze się pogorszyła i wymagała już natychmiastowych działań. Do belgijskiego Spa, gdzie w sprawach niemieckich zebrali się wielcy ówczesnego świata, udał się sam premier Władysław Grabski. Francuzi zasadniczo umywali ręce i odsyłali delegację polską do brytyjskiego premiera Lloyd George'a. Ten rzeczywiście podjął negocjacje i nie wzbierał się wystąpić w roli pośrednika między Warszawą a Moskwą, czynił to jednakże za cenę daleko idących ustępstw ze strony polskiej (10 lipca 1920 r.). Sprowadzały się one do następujących punktów: 1) zgoda na linię Curzona jako wschodnią granicę Rzeczypospolitej, 2) ustąpienie Czechom Zaolzia, 3) odstąpienie Litwinom Wilna, 4) ustępstwa na terenie Wolnego Miasta Gdańska. Grabski, świadom śmiertelnego zagrożenia dla Polski, warunki te przyjął. W pierwszej sprawie premier Rzeczypospolitej liczył jeszcze na uzyskanie Galicji Wschodniej wraz ze Lwowem, ponieważ linia proponowana przez Curzona

urywała się w rejonie dawnej granicy monarchii Habsburgów i Rosji w okolicach na południe od Hrubieszowa. Nadzieje jego okazały się jednak płonne. W piśmie z 11 lipca, skierowanym do Moskwy i zawierającym propozycje ustępstw, lord Curzon za zgodą Lloyda George'a – bez poinformowania Grabskiego! – wydłużył swoją linię do rzeki San, oddając tym samym Lwów i całą byłą Galicję Wschodnią Sowiecom. Szybko przystąpiono także do realizacji pozostałych warunków. 28 lipca podpisano w Spa dokument, w którym strona polska godziła się na odstąpienie od żądania przeprowadzenia plebiscytu na Zaolziu, a tym samym została zmuszona do uznania władzy czeskiej w tym spornym rejonie. W listopadzie 1920 r. podpisano konwencję polsko-gdańską, która wprowadzała wykraczające poza literę traktatu wersalskiego, niekorzystne dla Polski i ograniczające jej prawa w Wolnym Mieście stipulacje, m.in. utworzono mieszaną Radę Portu i Dróg Wodnych.

Najgorsze było jednak to, że Cziczerin odrzucił brytyjskie propozycje pośredniczenia w zakończeniu konfliktu polsko-sowieckiego i wyraźnie grając na czas, dał do zrozumienia, że jedyną drogą są bezpośrednie pertraktacje między Warszawą oraz Moskwą. Urażony taką postawą Lloyd George wycofał się z negocjacji, oddając inicjatywę Polakom. Strona polska pozostała na placu boju sama. Pierwsza próba wysłania do bolszewików delegacji z Warszawy na czele z wiceministrem Władysławem Wróblewskim zakończyła się fiaskiem, ponieważ Sowieci zażądali od Polaków pełnomocnictw do rozmów o natychmiastowym zawieszeniu broni. Dopiero 11 sierpnia udało się do Mińska delegacja kierowana przez innego wiceszefa MSZ, Jana Dąbskiego. Usłyszała ona wręcz upokarzające warunki pokoju: linia Curzona jako przyszła granica z ewentualnymi kilkukilometrowymi odchyleniami na korzyść Polski, redukcja armii polskiej do 50 tys. żołnierzy, oddanie nadwyżek broni

i sprzętu wojskowego Sowiecom, zgoda na powołanie do życia milicji ludowej. Przyjęcie tych postulatów w zasadzie oznaczało przekreślenie suwerenności państwa polskiego i najkrótszą drogę do sowietyzacji kraju, którą Moskwa faktycznie już przygotowywała, instalując w Białymstoku Tymczasowy Komitet Rewolucyjny Polski z Marchlewskim, Feliksem Dzierżyńskim i Feliksem Konem. W pełni zgodzić się należy z opinią, że gdyby Polska przegrała bitwę na przedpolach Warszawy w sierpniu 1920 r., to kłeska dyplomatyczna nie byłaby mniejsza od militarnej, a mocarstwa zachodnie bynajmniej nie sprzeciwiałyby się żądaniom sowieckim.

Wojsko Polskie odparło jednak marsz Armii Czerwonej na Warszawę. Momentalnie zmienił się także ton rozmów w Mińsku, przy czym Sowieci rakiem wycofywali się z dotychczasowych żądań, sugerując, że było to jedynie badanie gruntu przed właściwymi negocjacjami. Pertraktacje pokojowe wkrótce przeniesiono na neutralny teren, a mianowicie do Rygi. Na czele delegacji sowieckiej, reprezentującej Rosję i Ukrainę, stanął Adolf Joffe. W składzie delegacji polskiej znalazło się wielu parlamentarzystów i polityków. Formalnie przewodził jej nadal wiceminister Dąbski, faktycznie pierwsze skrzypce grał działacz endecki prof. Stanisław Grabski, chociaż nie brakowało w jej gronie ludzi związanych z obozem belweaderskim, jak Leon Wasilewski czy Ignacy Matuszewski. Piłsudski nie wywierał jednakże nacisków na delegację, co wywoływało nawet zdziwienie postronnych obserwatorów. Strona polska bez dyskusji zgodziła się na odmówienie udziału przedstawicielom Petlury w negocjacjach. Nie było to lojalne zachowanie wobec wiernego sojusznika. Dlaczego zatem Polacy nie upierali się, aby do stołu obrad u ich boku zasiedli reprezentanci URL, tym bardziej że po drugiej stronie znaleźli się przedstawiciele sowieckiej Ukrainy? Odpowiedź w gruncie rzeczy jest

prosta. W Warszawie zdawano sobie sprawę, że udział Petlury w konferencji pokojowej może przesądzić o jej klęsce, a w najlepszym przypadku o przeciąganiu jej w czasie, gdy tymczasem stronie polskiej zależało na jak najszybszym zakończeniu konfliktu zbrojnego. Polski, podobnie zresztą jak Sowieci, nie było stać na kontynuowanie wyniszczającej wojny. Oba państwa potrzebowały czasu, aby okrzepnąć. W niczym nie zmienia to faktu, że ukraińscy sojusznicy poczuli się porzuceni.

12 października 1920 r. podpisano preliminaria pokojowe w Rydze. Ich najważniejsze punkty to decyzja o zakończeniu działań wojennych w dniu 18 października oraz wytyczenie linii demarkacyjnej, faktycznie już wówczas traktowanej przez uczestników konferencji jako przyszła granica. Biegła ona od rzeki Dźwiny na północy w kierunku południowym, pozostawiając Mińsk po stronie sowieckiej, a Stołpce po stronie polskiej, dalej przecinała bagna poleskie, Nieśwież i Równe miały się znaleźć w Polsce. Na południu linię tę wyznaczała rzeka Zbrucz, a zatem dawna granica pomiędzy Rosją i Austro-Węgrami. Już w listopadzie 1920 r. powrócono do stołu obrad z zamiarem wynegocjowania traktatu pokojowego. Uwagę negocjatorów skupiały zwłaszcza cztery zagadnienia: sprawy finansowe, a przede wszystkim zwrócenie kosztów wynikających z wkładu ziem polskich w rozwój imperium rosyjskiego (Polacy żądali 300 mln rubli w złocie, Sowieci godzili się na sumę 10-krotnie mniejszą), zwrot mienia, dzieł sztuki, archiwaliów zagrabionych przez Rosjan w czasach zaborów, zwrot majątku wywiezionego w 1915 r. z terenów ówczesnego Królestwa Polskiego, z akcentem na zakłady przemysłowe i tabor kolejowy, wreszcie delimitacja granicy i wprowadzenie poprawek, których domagała się strona polska (w sumie, na różnych odcinkach, mówiono o ok. 12 tys. km²). Niemalże problemów sprawiała także repatriacja ludności polskiej z terenów Rosji, Syberii nie wyłączając, oraz zorganizowa-

nie powrotu do domów przez terytorium Rzeczypospolitej jeńców rosyjskich i bolszewickich. Na przełomie 1920 i 1921 r. negocjacje stanęły w martwym punkcie i niewiele brakowało, aby zostały zerwane. Zbliżający się termin plebiscytu na Górnym Śląsku był jednak elementem dopingującym stronę polską. Warszawa chciała pokazać ludności śląskiej i opinii międzynarodowej, że Polska Odrodzona nie jest państwem sezonowym i stabilizuje swoje granice. Z kolei bunt marynarzy w Kronsztadzie, krwawo stłumiony przez oddziały Armii Czerwonej dowodzone przez Michaiła Tuchaczewskiego, przekonywał Moskwę, że należy jak najszybciej znaleźć konsensus z Polską, aby zająć się sprawami wewnętrznymi.

Traktat ryski podpisano 18 marca 1921 r. Był to obszerny dokument ustalający przebieg granicy i regulujący wiele zagadnień szczegółowych. W sprawach spornych więcej ustępstw poczyniła delegacja polska. Zgodzono się na sumę 30 mln rubli jako odszkodowanie dla Polski za wkład w rozwój imperium rosyjskiego, żądania terytorialne ograniczono do ok. 3 tys. km². Sowietów zobowiązano do oddania zagrabionych i wywiezionych z ziem polskich dóbr. Szybko okazało się jednak, że są to z ich strony puste frazesy. Z zasad oddawania Polakom wywiezionego i zagrabionego majątku drwił Piotr Wojkow, w przyszłości poseł ZSRR w Warszawie. Strona polska zbyt późno uświadomiła sobie błąd, jakim był brak sankcji za niewykonanie postanowień traktatu. Już współcześnie mówiono, że Polska obroniła się pod względem militarnym, ale przegrała pokój. Czy rzeczywiście tak było? Trudno zgodzić się z taką opinią. Wszak traktat ryski był dopełnieniem ładu wersalskiego na obszarze Europy Wschodniej. Można nawet mówić o ładzie wersalsko-ryskim. Bezpośrednio lub pośrednio gwarantował on niepodległy byt, a co najmniej warunki pokojowej egzystencji nie tylko Polsce, ale także Litwie, Łotwie, Estonii, Finlandii, w jakiejś mierze

także Rumunii. Wszystkie te państwa przekonały się o tym w latach 1939–1940, kiedy traktat ów został podeptany. W Warszawie pokój zawarty w Rydze traktowano jako *conditio sine qua non*, element trwały, stanowiący odniesienie w innych układach z ZSRR. Dla Moskwy był to tylko układ taktyczny, tymczasowy, choć niezbędny dla zyskania czasu potrzebnego do przygotowania ekspansji na Zachód. Joffe nie bez powodu dawał do zrozumienia, że strona sowiecka byłaby skłonna oddać Polsce jeszcze więcej ziem na wschodzie. W gruncie rzeczy głęboko wierzył, że terytoria te prędzej czy później powrócą pod władanie Moskwy, a większa liczba przedstawicieli mniejszości narodowych w granicach Rzeczypospolitej dawała Sowietom nadzieje na skuteczne osłabienie Polski od środka. Warto też pamiętać, że członkowie delegacji polskiej kierowali się łańską maksymą *pacta sunt servanda* i nie mogli być świadomi stopnia cynizmu sowieckich partnerów. Młodej polskiej dyplomacji brakowało doświadczenia w negocjowaniu z tak trudnym i przewrotnym partnerem, jakim byli bolszewicy.

Stosunki polsko-sowieckie po traktacie ryskim pozostawały więcej niż skomplikowane. Szybko się okazało, że trzeba wielkiego wysiłku, a nawet bolesnych ustępstw, aby Moskwa przystąpiła do realizacji postanowień traktatu w zakresie zwrotu zagrabionego i wywiezionego majątku oraz spłaty należności finansowych. W październiku 1921 r. podpisano umowę, której sygnatariuszami byli wiceminister Dąbski i pierwszy reprezentant dyplomatyczny Rosji Sowieckiej w Polsce Lew Karachan. Moskwa zobowiązała się do wypłaty pieniędzy i zwrotu dóbr stronie polskiej, Warszawa zaś ustąpiła w sprawie usunięcia z terytorium Rzeczypospolitej szeregu białych emigrantów, na czele z Borysem Sawinkowem i niedawanym sojusznikiem Petlurą. Obydwaj – świadomi powagi sytuacji – udzielili zgody na wyjazd z Polski.

Początek 1921 r. przyniósł inne ważne wydarzenia w dziejach polskiej polityki zagranicznej. 19 lutego podpisano sojusz z Francją, składający się z umowy politycznej i tajnej konwencji wojskowej. Wydarzenie to poprzedziła oficjalna wizyta naczelnika państwa Józefa Piłsudskiego nad Sekwaną (3–6 lutego 1921 r.). W Paryżu sojusz miał wielu przeciwników, do których należy zaliczyć także marsz. Focha. Jego zwolennikiem był natomiast prezydent Alexandre Millerand. Alians miał ostrze wyraźnie antyniemieckie, o co zadbała strona francuska, odrzucając polskie sugestie rozciągnięcia jego stypulacji także na ewentualność wojny z Rosją Sowiecką. Francuzi nie chcieli wchodzić w żadne „wschodnie awantury” i deklarowali w takim wypadku jedynie pomoc materialną, wysłanie misji wojskowej oraz zagwarantowanie bezpieczeństwa szlaków komunikacyjnych. Co więcej, wejście w życie umowy sojuszniczej uzależnili od podpisania porozumień gospodarczych, co nastąpiło dopiero rok później. Fakt ten dobrze obrazuje rozłożenie akcentów przez obie strony – dla Polaków ważne były stosunki polityczne i wojskowe, dla Francuzów przede wszystkim gospodarcze. Mimo to sojusz z największą potęgą lądową ówczesnego świata był nie lada sukcesem dyplomacji polskiej i stał się kamieniem węgielnym polskiej polityki zagranicznej na długie lata.

Inne znaczenie miał sojusz obronny z Rumunią zawarty 3 marca 1921 r. Oba państwa gwarantowały w nim nienaruszalność swoich granic z Rosją oraz Ukrainą Sowiecką i wzajemną pomoc na wypadek agresji ze wschodu. Również w tym przypadku umowę polityczną uzupełniono tajną konwencją wojskową, która zresztą już we wrześniu 1922 r. została zmieniona i dostosowana do aliansu z Francją. Nie powiodły się późniejsze próby rozciągnięcia sojuszu z Bukaresztem na ewentualne zagrożenie ze strony Niemiec.

W Warszawie bez zachwytu patrzono na powstanie w latach 1920–1922 bloku państw Małej Ententy (Czechosłowacja,

Rumunia, Królestwo SHS – od 1929 r. Jugosławia). Spoiwem owego trójstronnego sojuszu były obawy przed rewizjonizmem węgierskim, w mniejszym stopniu bułgarskim, oraz poparcie, jakiego udzieliła Małej Entencie dyplomacja francuska. W praktyce nad Wisłą zdawano sobie sprawę, że o wiele większym zagrożeniem dla państw Małej Ententy był rewizjonizm ze strony mocarstw – dla Czechosłowacji ze strony Niemiec (Sudety), dla Rumunii ze strony ZSRR (sporne terytorium Besarabii), dla Jugosławii ze strony Włoch (Dalmacja, Rijeka). Nie chcąc zrażać do siebie Węgier i nie widząc realnego interesu, Polska nie chciała, mimo wielokrotnie ponawianych zachęt ze strony Paryża, wejść do grona państw Małej Ententy. Jej obecności nie życzyła sobie zresztą Praga, a zwłaszcza Beneš, zazdrośnie strzegący pozycji lidera tej grupy i postrzegający Rzeczpospolitą jako główny cel niemieckich rewizjonistów.

Rok 1922 przyniósł ostateczne ustalenie granic Polski Odrodzonej. Traktat wersalski wszedł w życie 10 stycznia 1920 r. i szybko przystąpiono do realizacji jego postanowień. W dniach 17 stycznia – 10 lutego 1920 r. wojska Frontu Pomorskiego, bez większych przeszkód, zajęły przyznane Polsce Pomorze, dokonując w Pucku symbolicznych zaślubin z Bałtykiem. 11 lipca 1920 r., w tragicznym okresie marszu bolszewików na Warszawę, przeprowadzono plebiscyt na Warmii, Mazurach i Powiślu, który strona polska z kretesem przegrała, uzyskując ledwie kilka wiosek w powiecie działdowskim i most wraz z przycółkiem na prawym brzegu Wisły w okolicach Kwidzyna. Polacy popełnili przy tym немало błędów, które pogłębiły wymiar przegranej. Zgodzono się na przykład, aby do pytania plebiscytowego wprowadzić pojęcie „Prusy” zamiast „Niemcy”, co nie pozostało w trakcie głosowania bez wpływu na postawę słabo uświadomionej pod względem narodowym ludności mazurskiej. Ponadto, strona polska postulowała, aby w głosowaniu udział wzięły osoby urodzone na terenach plebiscytowych, ale mieszkające

poza nimi. Skorzystali z tego przede wszystkim lepiej zorganizowani Niemcy.

Zbłądów tych starano się jednak wyciągnąć wnioski na przyszłość, zwłaszcza pod kątem zbliżającego się plebiscytu na Górnym Śląsku i Opolszczyźnie. Głosowanie to, poprzedzone dwoma powstaniem ludności polskiej Górnego Śląska, w sierpniu 1919 i sierpniu 1920 r., zostało przeprowadzone 20 marca 1921 r. Jego wynik nie był jednoznaczny: nieco ponad 40 proc. głosujących opowiedziało się za Polską, większość jednak za Niemcami. Rozpoczęły się targi między mocarstwami, w jaki sposób podzielić sporny teren. Francuzi domagali się oddania Polsce przynajmniej części przemysłowego okręgu, Anglicy byli zdania, że skoro Polacy przegrali plebiscyt, to w najlepszym razie należą im się tereny rolnicze w południowej części Górnego Śląska. Włosi byli skłonni poprzeć Brytyjczyków. W nocy z 2 na 3 maja 1921 r. wybuchło trzecie powstanie śląskie. Zakończyło się ono dopiero na początku lipca. W sensie militarnym powstańcy ponieśli klęskę. Ich postawa nie pozostała jednakże bez wpływu na kwestię podziału spornego terytorium – Anglicy stali się bardziej ustępliwi. W październiku 1921 r. wielkie mocarstwa podjęły decyzję o przekazaniu Polsce co prawda tylko 29 proc. terytorium plebiscytowego, ale był to rejon, na którym znajdowało się najwięcej kopalń i wielkich pieców. 15 maja 1922 r. Polacy i Niemcy podpisali w Genewie konwencję, która ustalała reguły kooperacji dwóch części Górnego Śląska, podzielonego teraz między dwa państwa. Niemcy zostali między innymi zobowiązani do przyjmowania przez 3 lata węgla z polskiej części Śląska, a strona polska musiała się zgodzić na autonomię województwa śląskiego ze stolicą w Katowicach. W październiku 1922 r. na Górny Śląsk wkroczyły oddziały polskie dowodzone przez gen. Stanisława Szeptyckiego. Tym samym zakończył się proces formowania granicy polsko-niemieckiej.

Przy wytyczaniu granicy wschodniej Piłsudski nie oglądał się już na mocarstwa. O ile kwestię granicy polsko-sowieckiej rozpatrywano w Rydze, a granica polsko-łotewska, chociaż przez wiele lat nie podpisano odpowiednich dokumentów, a nawet strona polska celowo z tym zwlekała, nie była przedmiotem większych targów, o tyle pozostała do rozstrzygnięcia sprawa granicy z Litwą. We wrześniu 1920 r. toczyły się w Suwałkach pertraktacje, w trakcie których ustalono przebieg linii demarkacyjnej. Urywała się ona w okolicach miejscowości Bastuny, pozostawiając faktycznie Wilno po stronie litewskiej. W nocy z 8 na 9 października 1920 r. rozpoczął się tzw. bunt gen. Lucjana Żeligowskiego, inspirowany przez Piłsudskiego, który w tej kwestii został później poparty nawet przez swoich zagorzałych przeciwników. Rzekomo zbuntowany Żeligowski na czele dywizji litewsko-białoruskiej ominął linię demarkacyjną wytyczoną umową suwalską, zajął Wilno i całą Wileńszczyznę, a następnie utworzył państewko pod nazwą Litwa Środkowa. Litwini uznali tę akcję za dowód wiarołomstwa Polaków. Z Zachodu znów posypały się gromy. Próbowano szukać rozwiązań polubownych za pośrednictwem Ligi Narodów. Między innymi wybitny belgijski polityk Paul Hymans zgłosił projekt podziału wzorem Szwajcarii spornego terytorium na kantony. Wszystkie propozycje były jednakże odrzucane bądź przez stronę polską, bądź przez litewską, bądź też przez obie naraz. Kością niezgody pozostawało Wilno, które każda ze stron chciała mieć w obrębie swoich granic. Ostatecznie w styczniu 1922 r. przeprowadzono w Litwie Środkowej wybory, zbojkotowane przez zdecydowaną większość Litwinów, Żydów i Białorusinów. W ten sposób Sejm Wileński składający się wyłącznie z Polaków po kilku tygodniach obrad podjął decyzję o włączeniu Litwy Środkowej do Rzeczypospolitej. Posłowie wileńscy zostali dokooptowani do składu Sejmu Ustawodawczego w Warszawie. Sprawa

przynależności Wilna i Wileńszczyzny pozostawała zarzewiem konfliktu w stosunkach polsko-litewskich przez wiele lat. Władze w Kownie uważały, że nadal są w stanie wojny z Polską. Nakażały zerwać wszelkie połączenia komunikacyjne i konsekwentnie odrzucały określenie „granica polsko-litewska”, zastępując je pojęciem „linia demarkacyjna”, a później „linia administracyjna”. Ten kuriozalny stan, mimo kilkakrotnie podejmowanych przez Warszawę i osobiście przez Piłsudskiego prób nawiązania kontaktów dyplomatycznych, przetrwał aż do marca 1938 r.

Zakończony w 1922 r. proces kształtowania granic II Rzeczypospolitej nie oznaczał kresu zabiegów o ich utrwalenie. O ile granice polsko-niemiecka i polsko-czechosłowacka były uznane przez mocarstwa, które walnie przyczyniły się do ustalenia ich kształtu, o tyle brakowało takiego uznania dla granicy wschodniej. Była to sytuacja wręcz niebezpieczna, bo otwierająca pole dla rewizjonizmu i mogąca posłużyć wcześniej czy później do negowania kształtu terytorialnego Polski Odrodzonej.

Kto wie, czy zabiegi o międzynarodowe uznanie granicy wschodniej nie były najważniejszym zadaniem dyplomacji polskiej w latach 1921–1923. Pierwszą poważną próbę podjęto podczas konferencji geneueńskiej w kwietniu 1922 r. Minister Konstanty Skirmunt zadbał o poparcie starań Polski przez państwa bałtyckie (oczywiście bez Litwy) oraz Rumunię. Na krótko przed konferencją, 17 marca 1922 r., podpisano w Warszawie układ z Finlandią, Łotwą i Estonią, który w dalekosiężnych planach polskiego MSZ miał być krokiem ku powołaniu do życia tzw. związku bałtyckiego. Problem z powstaniem tego typu związku polegał jednak na tym, że w Finlandii wstrząśniętej wojną domową górę brała tendencja ku ścisłej neutralności, wręcz *splendid isolation*, a następnie ku powiązaniu swoich losów z państwami skandynawskimi, nie zaś bałtyckimi, natomiast Łotwa i Estonia stałe oglądały się na Litwę, która pozostawała

z Polską w konflikcie. Wróćmy jednak do konferencji w Genui. Jej zasadniczym celem było uregulowanie wzajemnych zależności finansowych (długów i reparacji) wynikających z wojny światowej i rewolucji. Do Genui zaproszono także delegację sowiecką, która przybyła w wyjątkowo silnym składzie. Wydawało się, że jest to świetna okazja do podjęcia sprawy uznania *de iure* wschodniej granicy państwa polskiego. Próba przeprowadzenia tej kwestii natrafiła jednak na zdecydowany opór Lloyda George'a. Niewiele brakowało, aby brytyjski premier rozpoczął debatę nad przebiegiem granicy polsko-sowieckiej. Wkrótce jednak nastąpiło wydarzenie, które przysłoniło wszystkie dotychczasowe debaty konferencyjne. 16 kwietnia 1922 r. w pobliskim Rapallo delegacje niemiecka i sowiecka podpisały dwustronny układ, wzajemnie wyrzekając się pretensji finansowych wynikających z działań wojennych, nawiązując stosunki dyplomatyczne na szczeblu ambasad i deklarując daleko posuniętą współpracę gospodarczą. Układ ten był wielkim zaskoczeniem dla pozostałych państw, chociaż Niemcy i Sowietzi przygotowywali go już od jakiegoś czasu. Wymierzony w ład wersalski i państwa oraz instytucje, które ład ów gwarantowały, układ zawarty w Rapallo był szczególnie niebezpieczny dla Polski, położonej między Niemcami i Rosją Sowiecką. W konsekwencji tego układu konferencja genueńska zakończyła się fiaskiem, a podejmowana, szczególnie przez dyplomację francuską, próba uzyskania od Sowietów zapewnienia, że spłacą długi rządów przedrewolucyjnych, nie przyniosła efektów. Dla mocarstw zachodnich jednym z kluczowych zagadnień było teraz dążenie do odciążenia Niemiec od Sowietów, i to bynajmniej nie za darmo.

Starania o uznanie granicy wschodniej trzeba było podejmować od nowa. Okazja nadarzyła się dopiero rok później. 11 stycznia 1923 r. Francja i Belgia rozpoczęły okupację Zagłę-

bia Ruhry, ponieważ Niemcy nie wywiązywały się ze spłat należnych reparacji wojennych. Zamieszanie na zachodzie Europy wykorzystali Litwini, którzy cztery dni później usunęli garnizon francuski z Kłajpedy i metodą faktów dokonanych anektowali tzw. Kraj Kłajpedy. Spokojna reakcja Warszawy, której interesy w tym rejonie Bałtyku zostały wszak zagrożone, była pozytywnie oceniona przez mocarstwa zachodnie. Tę koniunkturę wykorzystał Aleksander Skrzyński, od grudnia 1922 r. minister spraw zagranicznych w rządzie gen. Władysława Sikorskiego. Zabiegi dyplomacji polskiej tym razem przyniosły wymierne efekty. Najszybciej do uznania *de iure* wschodniej granicy państwa polskiego dał się przekonać rząd włoski z Benito Mussolinim na czele, najtrudniej było namówić sojusznicy Paryż, który ciągle liczył się z postawą emigracji rosyjskiej. Brytyjczycy tym razem nie stawiali przeszkód. 15 marca 1923 r. Rada Ambasadorów wielkich mocarstw ogłosiła uznanie wschodniej granicy Polski Odrodzonej. Chociaż nie oznaczało to jej gwarantowania przez państwa zachodnie, niemniej jednak usankcjonowanie granicy ryskiej na arenie międzynarodowej traktować należy jako spektakularny sukces polskiej dyplomacji.

* *

Badacze dziejów stosunków międzynarodowych formułują zasadę, wedle której polityka mocarstw zachodnich wobec Polski w międzywojennym dwudziestoleciu była wypadkową polityki tychże państw wobec Niemiec i ZSRR. Przykładowo: jeśli Paryż czy Londyn zmieniał swoją linię wobec Berlina i Moskwy, to mimo deklaracji stałości zmieniał ją też wobec Warszawy. Funkcjonowanie owej zasady dało o sobie znać wielokrotnie. W 1924 r. nastąpiły zmiany na angielskiej i francuskiej scenie politycznej. W Londynie po raz pierwszy rząd sformo-

wali przedstawiciele Partii Pracy z Jamesem Ramsayem MacDonaldem na czele, w Paryżu po zwycięskich wyborach władzę objął Kartel Lewicy (socjaliści i radykałowie), którego lider – Edouard Herriot – został premierem i ministrem spraw zagranicznych. Zarówno Francuzi, jak i Anglicy zrewidowali swoją politykę wobec Niemiec, uznając, że dotychczasowy twardy kurs nie jest właściwą drogą do osiągnięcia celu, jakim było zabezpieczenie pokoju na przyszłość i uzyskanie jakże potrzebnych reparacji. Przeważył pogląd, że trzeba wyciągnąć rękę ku Berlinowi, starać się wprowadzić Niemcy do systemu, którego filarem była Liga Narodów, a nawet udzielić im daleko idącej pomocy finansowej, aby wyszli z powojennego kryzysu gospodarczego i byli w stanie spłacić reparacje. W tym celu z inicjatywy MacDonalda zwołano do Londynu konferencję (15 lipca – 15 sierpnia 1924 r.), podczas której uzgodniono, że Francuzi i Belgowie wycofają swoje wojska z Zagłębia Ruhry, a ponadto przyjęto i rychło wdrożono do realizacji plan pomocy finansowej dla Niemiec, opracowany przez amerykańskiego finansistę Charlesa Dawesa. Delegacja niemiecka, z wybitnym politykiem Gustavem Stresemannem na czele. brała udział w drugiej części konferencji na pełnych prawach, co niektórzy historycy interpretują, zapewne nie bez racji, jako zewnętrzny wyraz dopuszczenia Niemiec do grona mocarstw. Zaczynała się polityka ustępstw i koncesji na rzecz Berlina, której symbolem będzie Locarno.

W 1924 r. najpierw MacDonald, następnie Mussolini, wreszcie Herriot uznali *de iure* ZSRR i nawiązali z Moskwą stosunki dyplomatyczne. Można nawet powiedzieć, że był to swoistego rodzaju wyścig, kto pierwszy uzna Sowiety. O uznaniu ZSRR zdecydowały przede wszystkim sprawy gospodarcze, a zwłaszcza zamiar zwiększenia eksportu na rynek sowiecki.

Już w grudniu 1924 r. Brytyjczycy podsunęli Niemcom pomysł podpisania paktu gwarantującego nienaruszalność ich

granic zachodnich. Rozpoczęły się wielomiesięczne pertraktacje, do których włączyli się Francuzi, Włosi i Belgowie, żywo zainteresowani tym problemem. Tendencje te obserwowano nad Wisłą z rosnącym niepokojem, tym bardziej że francuski sojusznik nie zawsze rzetelnie informował Polaków o stanie pertraktacji. Próby storpedowania całego przedsięwzięcia okazały się bezskuteczne. Ponadto strona polska znalazła się w nadzwyczaj trudnym położeniu, ponieważ nie mogła i nie chciała przeszkadzać Francuzom w ułożeniu sobie pokojowych relacji z Niemcami oraz zdobyciu dodatkowych zabezpieczeń pokoju. Złożoność sytuacji doskonale wyczuwał ponownie kierujący polską dyplomacją (od lipca 1924 do maja 1926 r.) Aleksander Skrzyński. Podjął on szerokie, multilateralne działania na rzecz uzyskania dla Polski identycznych gwarancji nienaruszalności granicy z Niemcami. Rychło okazało się jednak, że żadne z mocarstw, z sojuszniczą Francją na czele, nie jest tym zainteresowane. Skrzyńskiemu pozostało zatem samotnie zмагаć się z przeciwnościami i walczyć o jak najlepsze zabezpieczenie granic Polski. Trudno jednoznacznie ocenić efekt jego działań. Stresemann zgodził się tylko na układ arbitrażowy z Polską i Czechosłowacją. Przy odpowiedniej interpretacji można było na jego podstawie podważyć nienaruszalność granicy polsko-niemieckiej. Francuzi zdecydowali się jedynie na podpisanie traktatu gwarantującego polsko-niemiecki układ arbitrażowy. Berlin nie uznał jednak tych gwarancji i miały one wyłącznie jednostronny charakter. Wynegocjowany wówczas polsko-francuski traktat poważnie osłabiał wartość sojuszu z 1921 r. Teraz decyzja o podjęciu działań zbrojnych przeciwko Niemcom nie była zależna od woli Paryża i Warszawy, ale musiała być rozpatrywana na forum Ligi Narodów w Genewie. Nad Polską pojawiła się wcale realna groźba międzynarodowej izolacji w obliczu rosnącej potęgi Niemiec.

Konferencja w pięknym szwajcarskim Locarno (5–16 października 1925 r.), podczas której główną rolę odgrywali szefowie dyplomacji francuskiej (Aristide Briand), niemieckiej (Stresemann) i brytyjskiej (Austen Chamberlain) zakończyła się uroczystym parafowaniem paktu reńskiego. Nienaruszalność granicy francusko-niemieckiej i belgijsko-niemieckiej została potwierdzona, a ponadto gwarantowana przez Wielką Brytanię i Włochy. Skrzyński musiał długo czekać na zaproszenie do Locarno. Otrzymał je już w trakcie trwania konferencji, ale do stołu obrad dopuszczono go dopiero w przedostatnim dniu, kiedy wszystkie najważniejsze kwestie dawno zostały rozstrzygnięte. Podobnie potraktowano szefa dyplomacji czechosłowackiej, Beneša. Nikogo nie przekonały argumenty, że pakt bezpieczeństwa żywo obchodzi także Polskę. Również 16 października podpisano omówione wyżej polsko-niemiecki układ arbitrażowy i polsko-francuski traktat gwarantujący ten układ. Dokumenty te nie miały jednak organicznego związku z paktem reńskim i nic, poza datą i miejscem podpisania, ich z nim nie łączyło. Sposób potraktowania polskiego ministra dobrze oddaje atmosferę panującą w trakcie konferencji i stosunek mocarstw do sprawy polskiej. Pakt reński triumfalnie wystawiono na widok publiczny, jako dowód dobrowolnego porozumienia niedawnych jeszcze przeciwników z frontów wojny światowej. Równie uroczyste jego podpisanie nastąpiło w Londynie 1 grudnia 1925 r. W rzeczywistości jednak Locarno było niczym więcej jak iluzją. Z perspektywy późniejszych wydarzeń wiemy, że najbardziej straciła na nim Francja, która odsuwając się od wschodnich sojuszników, faktycznie osłabiła swoją międzynarodową pozycję, także, a może nawet przede wszystkim, względem Niemiec. W Europie pojawiły się granice lepsze, których nienaruszalność mocarstwa gwarantowały układem międzynarodowym i gorsze, które takich gwarancji były pozbawione. Niestety do tych dru-

gich należała również granica polsko-niemiecka, a starania o uzyskanie dla niej gwarancji determinowały posunięcia dyplomacji polskiej w kolejnych latach. Za wymowny komentarz na temat Locarno niech nam posłużą słowa Józefa Piłsudskiego: „...każdy przyzwoity Polak spluwa, jak słyszy to słowo”. Nad Wisłą narastał krytycyzm wobec francuskiego sojusznika.

Dla Brianda oraz większości elit francuskich najważniejszą kwestią było doprowadzenie do takiej sytuacji, aby Niemcy z własnej woli postępowały wedle reguł ładu wersalskiego i paktu Ligi Narodów, a w efekcie zrezygnowały z dążeń rewizjonistycznych. W osiągnięciu tego celu szef dyplomacji francuskiej widział najlepsze zabezpieczenie przed ewentualnością wybuchu kolejnego konfliktu w Europie i na świecie. Briand, pomny doświadczeń z lat 1870–1871 i 1914–1918, porozumienie między Francuzami i Niemcami uważał nie tylko za absolutnie niezbędne, ale postrzegał jako ostateczną likwidację zapalnego punktu, który mógł się stać zarzewiem przyszłego konfliktu światowego. Koncepcje szefa francuskiej dyplomacji były tyleż pacyfistyczne, co idealistyczne. Droga do ich realizacji wiodła poprzez ustępstwa na rzecz Berlina i coraz szybsze odchodzenie od ograniczeń narzuconych Niemcom w Wersalu. Istotnym celem tej polityki był także zamiar odciążenia Berlina od Moskwy. Koszty ponosili w pierwszym rzędzie słabsi partnerzy z Europy Środkowej i Wschodniej, a zatem również Polska.

Stresemann znalazł się tymczasem w komfortowym położeniu. Nie wyrzekł się dotychczasowego kursu *Ostpolitik* i mógł liczyć na dalsze ustępstwa ze strony mocarstw zachodnich, które oferowały Niemcom nie tylko wejście do Ligi Narodów, ale także uzyskanie stałego miejsca – a więc faktycznie statusu mocarstwa – w jej Radzie. Dyplomacja polska również zabiegała o uzyskanie takowego miejsca, mając na względzie chociażby ewentualność neutralizowania poczynań dyplomacji niemieckiej

w sprawach mniejszości narodowych. Zabiegi te przyniosły tylko połowiczny efekt w postaci zgody mocarstw na tak zwane półstałe miejsce w Radzie Ligi z prawem reelekcji. Polska była zresztą wybierana do Rady cztery razy z rzędu (w latach 1926, 1929, 1932 i 1935). Zabiegał o to zwłaszcza minister August Zaleski, orędownik współpracy z Ligą Narodów. Piłsudski odnosił się do tej instytucji więcej niż powściągliwie, będąc zdania, że zaangażowanie dyplomacji polskiej w jej prace, często bardzo odległe od zagadnień interesujących Polskę, w gruncie rzeczy przysparza Warszawie nazbyt wielu kłopotów. Ten krytycyzm Marszałka wobec Genewy narastał wraz z upływem lat.

24 kwietnia 1926 r. Niemcy i Sowieci podpisali tzw. traktat berliński. Był on dowodem żywotności polityki Rapallo. Potwierdzał również, że Berlin nie zamierza rezygnować z jakże owocnego kursu na zbliżenie z ZSRR. Traktat berliński stworzył zresztą nowy rozdział w tej polityce – zintensyfikowanie współpracy między Armią Czerwoną i Reichswehrą, której orędownikami na gruncie niemieckim były siły skrajnie prawicowe i nacjonalistyczne. Warto zaznaczyć, że Moskwa za pretekst do podpisania układu potraktowała przedłużenie sojuszu polsko-rumuńskiego (26 marca 1926 r.). Faktycznie Sowieci udało się skutecznie zneutralizować linię Locarno i uzyskać zapewnienie z Berlina, że we wzajemnych stosunkach państw podważających ład wersalski nic się nie zmieniło. Traktat berliński jeszcze bardziej zwiększył groźbę izolacji państwa polskiego na arenie międzynarodowej. Nie pozostał on bez wpływu na podjęcie przez Piłsudskiego decyzji o przejęciu władzy, aczkolwiek zbrojny zamach stanu dokonany w Warszawie w maju 1926 r. miał przede wszystkim swoje źródło w wewnętrznej sytuacji państwa polskiego.

* *

Po maju 1926 r. faktycznym kreatorem polskiej polityki zagranicznej był Józef Piłsudski. Przewidywał on, że najbliższe lata będą stosunkowo spokojne na arenie międzynarodowej i należy skoncentrować siły na problemach wewnętrznych. Zgodził się, aby szefem MSZ został August Zaleski (1926–1932), który miał zresztą spore doświadczenie w pracy dyplomatycznej na różnych stanowiskach. W pierwszych miesiącach po zamachu stanu Piłsudski i jego zwolennicy robili wiele, aby przekonać opinię międzynarodową, zwłaszcza Berlin, Moskwę i Paryż, że polska polityka zagraniczna nie ulegnie zmianom. Gwarantem tej polityki miał być Skrzyński, który jednak odrzucił propozycję przyjęcia teki spraw zagranicznych.

Druga połowa lat 20. to czas niemałych i niestety nie zawsze zakończonych pomyślnie wysiłków ze strony dyplomacji polskiej, zmierzających do zdobycia gwarancji nienaruszalności granic Rzeczypospolitej. We wrześniu 1926 r. doszło do spotkania Brianda i Stresemanna w niewielkiej, położonej w pobliżu granicy Francji i Niemiec miejscowości Thoiry. W jego trakcie szef dyplomacji niemieckiej poruszył kwestię zniesienia okupacji Nadrenii przed terminem ustalonym traktatem wersalskim. Strona polska dowiedziała się o tych zamiarach z opóźnieniem i szybko przystąpiła do działań. Gra toczyła się o to, aby godząc się na przedterminową likwidację okupacji stref nadreńskich, postawić Niemcom jeden tylko warunek – uzyskanie ze strony Berlina gwarancji nienaruszalności granicy z Polską. Byłby to wyraz dobrej woli nie tylko ze strony władz Republiki Weimarskiej, ale także sprawdzian wartości sojuszu z Francją, ponieważ było jasne, że ów warunek może postawić tylko Paryż z poparciem Londynu. Zabiegi podejmowane w tej sprawie przez dyplomację polską pod kierunkiem ministra

Zaleskiego w latach 1927–1929 okazały się jednak bezskuteczne. Na konferencji haskiej w lecie 1929 r. Niemcy bezwarunkowo uzyskali przedterminowe zakończenie okupacji Nadrenii, a delegację polską potraktowano podobnie jak w Locarno. Francja po raz kolejny pokazała, że priorytetem jest dla niej partner niemiecki, a bezpieczeństwo polskiego sojusznika w tej grze zasadniczo się nie liczy. W Warszawie narastała niechęć wobec Paryża, a Piłsudski utwierdzał się w przekonaniu, że jedyną drogą uregulowania stosunków z Niemcami są pertraktacje i rozmowy bezpośrednie, bez oglądania się na państwa trzecie, nawet jeśli są to sojusznicy.

Dyplomacja polska partycypowała w inicjatywach o charakterze pacyfistycznym, które płynęły przede wszystkim z Paryża i Genewy. Piłsudski odnosił się do nich powściągliwie, nie dowierzając ideom bezpieczeństwa zbiorowego i z dużą rezerwą traktując hasła nawołujące do zachowania pokoju. Nie przeszkadzał jednak w działaniach ministrowi Zaleskiemu, przykładającemu do nich znacznie większą wagę. Piłsudski jako premier raz tylko, w grudniu 1927 r., osobiście udał się do Genewy. Specjalnie na tę okazję uszyto mu garnitur, gdyż nie wypadało, aby jechał do matecznika pacyfizmu w marszałkowskim mundurze. Przyczyną wizyty były napięte stosunki z Litwą, a efektem deklaracja premiera Augustinasa Voldemarasa, że jego kraj nie jest w stanie wojny z Polską. Przełomu w stosunkach na linii Warszawa–Kowno jednak nie osiągnięto. Kto wie, czy nie ważniejszym celem podróży Piłsudskiego do Genewy był zamiar przekonania wielkich ówczesnego świata o pokojowych intencjach Polski, ze szczególnym akcentem na sprawy niemieckie. Podczas rozmowy ze Stresemannem Marszałek dawał do zrozumienia, że czas byłoby już przełamać złą passę w stosunkach polsko-niemieckich, ponieważ w gruncie rzeczy obu stronom stwarza ona tylko rozliczne kłopoty na arenie międzynarodowej.

Polska należała do grona pierwszych piętnastu państw, które złożyły swój podpis pod traktatem ogólnym o wyrzeczeniu się wojny jako narzędzia rozwiązywania problemów narodowych (a co za tym idzie i międzynarodowych), zwanym od nazwisk jego inicjatorów paktem Brianda–Kellogga (27 sierpnia 1928 r.). Ten układ multilateralny, uważany za szczyt myśli pacyfistycznej okresu międzywojennego, miał więcej niż skromny wymiar praktyczny.

Powściągliwie dyplomacja polska odniosła się do skądinąd interesującej idei jednoczenia Europy, której promotorem był hr. Richard von Coudenhove-Kalergi. Jego wizję Paneuropy traktowano nie bez obaw, jako drogę do dominacji niemieckiej na kontynencie. Ideę tę w latach 1929–1930 zaczął promować także na forum Ligi Narodów Briand, ogłaszając, zresztą nie dość skonkretyzowany, pomysł utworzenia Unii Europejskiej o wymiarze głównie ekonomicznym. Odpowiedź strony polskiej i tym razem była powściągliwa, podkreślająca konieczność uprzedniego wykazania dobrej woli w stosunkach międzynarodowych. Niektórzy polscy dyplomaci interpretowali pomysł Brianda nadzwyczaj doraźnie jako zamiar szukania dróg dalszego pojednania Francji z Niemcami, tym razem jednak za zasłoną Paneuropy.

W ramach długich przygotowań do Międzynarodowej Konferencji Rozbrojeniowej w Genewie, którą uroczyście zainaugurowano 2 lutego 1932 r., dyplomacja polska przygotowywała własne plany rozbrojeniowe. Szczególnie interesujący był pomysł tak zwanego rozbrojenia moralnego, oficjalnie zgłoszony we wrześniu 1931 r. Zakładał on, że faktyczne rozbrojenie materialne winno być poprzedzone skutecznymi działaniami na rzecz zakończenia wrogiej propagandy w prasie i innych środkach przekazu, wprowadzeniem zakazu podżegania do wojny, a nawet rewizją gazet, książek czy podręczników szkolnych,

propagujących hasła nienawiści i rewanżu. Proponowano nawet wprowadzenie do kodeksów karnych poszczególnych państw regulacji w tym zakresie, z sankcją kary więzienia włącznie. Polski plan rozbrojenia moralnego nie znalazł jednak poparcia innych krajów, nie wyłączając sojuszników.

W latach 1926–1932 w stosunkach polsko-niemieckich nie nastąpił zasadniczy zwrot. Od lata 1925 r. trwała rozpozęta przez stronę niemiecką wojna celna, wywołana odmową przyjęcia polskich towarów, a zwłaszcza węgla. Berlin działał w tym przypadku zgodnie z zasadą wyłożoną wcześniej przez kanclerza Josepha Wirtha, wedle której „Polskę należało wykończyć”, oczywiście przede wszystkim w sensie gospodarczym. Zabiegi te nie przyniosły skutku, ponieważ strajk górników angielskich w 1926 r. otworzył szerzej dla polskiego węgla rynki skandynawskie, na których Polska była obecna zresztą już wcześniej. Wojna celna jednak trwała, a Warszawa starała się z kolei izolować gospodarczo Prusy Wschodnie. W gruncie rzeczy oba państwa wiele na tym traciły. Dochodziły do tego liczne skargi mniejszości niemieckiej w Polsce, zgłaszane na forum międzynarodowe, problem optantów, którzy nie mieli obywatelstwa polskiego, ale mieszkali na terytorium Rzeczypospolitej, a także nieuregulowane rozliczenia i pretensje finansowe po obu stronach. Dopiero pod koniec lat 20. sytuacja powoli zaczęła się poprawiać. Po stronie niemieckiej coraz więcej osób zdawało sobie sprawę, że jedyną rozsądną drogą jest szukanie porozumienia z Warszawą. Powoli oswajano się z myślą o Polsce jako trwałym elemencie na mapie Europy, a nie „państwie sezonowym”. Przyniosło to wymierne efekty w postaci podpisania w październiku 1929 r. tzw. umowy likwidacyjnej, która regulowała dużą część wzajemnych pretensji finansowych. W marcu 1930 r., a zatem już w okresie narastającego kryzysu gospodarczego o globalnym zasięgu, wynegocjowano również traktat handlowy. Reichstag odmówił jednakże jego ratyfikacji.

Trudno nie zgodzić się z poglądem Piłsudskiego, że prawdziwym barometrem stosunków polsko-niemieckich było Wolne Miasto Gdańsk, które zresztą Polska miała prawo reprezentować na zewnątrz. Na przełomie lat 20. i 30. hasła narodowosocjalistyczne zyskiwały żywszy oddźwięk wśród gdańskich Niemców. Coraz otwarciej podejmowano próby ograniczania uprawnień Polski na terenie Wolnego Miasta, na co Warszawa odpowiadała z całą stanowczością. Władze gdańskie, inspirowane z Berlina, usiłowały zablokować szybko postępującą budowę portu gdyńskiego. Senat Wolnego Miasta niewiele czynił, aby uchronić Polskę przed stratami ekonomicznymi powodowanymi nieszczelnością granicy celnej. Wreszcie doszło do ostrego konfliktu na tle praw Rzeczypospolitej do tzw. *port d'attache*, czyli traktowania Gdańska przez okręty polskiej Marynarki Wojennej jako portu macierzystego i występowania w nim w charakterze gospodarzy. W czerwcu 1932 r. Piłsudski zdecydował się na twardą grę. Nakazał dowódcy kontrtorpedowca „Wicher” Tadeuszowi Podjazd-Morgensternowi wypłynąć naprzeciw eskadrze okrętów brytyjskich i powitać je na redzie portu gdańskiego w charakterze gospodarza. W przypadku jakichkolwiek protestów ze strony władz gdańskich, dowódca „Wichra” miał ostrzelać najbliższy gmach urzędowy na terenie miasta. Pod takim naciskiem Senat Wolnego Miasta ugiął się na jakiś czas, ale później wielokrotnie dawał jeszcze dowody złej woli wobec Polski.

W stosunkach polsko-sowieckich najważniejszym zagadnieniem był pakt o nieagresji. Już w listopadzie 1924 r. Moskwa wysunęła propozycję podpisania tego rodzaju układu. Negocjacje toczyły się jednak opornie, z różnych powodów były wielokrotnie przerywane i znów wznawiane. Strona polska domagała się, aby podobne pakt o nieagresji podpisali – wspólnie lub równolegle – inni zachodni sąsiedzi ZSRR (Łotwa, Estonia,

Finlandia, Rumunia). Moskwa robiła wiele, żeby storpedować tę politykę tzw. „okrągłego stołu”, nie chcąc zarazem dopuścić do występowania Rzeczypospolitej w charakterze lidera państw Europy Środkowej oraz Wschodniej i szermując hasłem budowy pod egidą Warszawy wspólnego frontu antysowieckiego. Do tego dochodziły problemy natury prawnej. Sowieci nie godzili się na procedury arbitrażu i inne rozwiązania stosowane przez państwa członkowskie Ligi Narodów. Daleko posunięta i będąca tajemnicą poliszynela współpraca militarna Niemiec i ZSRR, postrzegana w Warszawie jako działanie o charakterze rewizjonistycznym z ostrzem wymierzonym w Rzeczpospolitą, podawała w wątpliwość szczerą intencję Moskwy. W relacjach obustronnych niejednokrotnie dochodziło do napięć i zadrażnień.

We wrześniu 1926 r. Sowieci podpisali z Litwinami traktat, w którym pośrednio stwierdzono, że Wilno jest stolicą Litwy, podważając tym samym granicę ryską. Umowę tę nieprzygodkowo ludowy komisarz spraw zagranicznych Cziczeryn nazwał „pierwszą [od objęcia władzy – M.W.] dyplomatyczną porażką Piłsudskiego”. W czerwcu 1927 r. białoruski emigrant Borys Kowierda zastrzelił na dworcu w Warszawie posta ZSRR Piotra Wojkowa. Władze sowieckie winą za to zabójstwo obciążyły stronę polską, zarzucając jej tolerowanie na terytorium Rzeczypospolitej białych emigrantów. Ożywienie stosunków nastąpiło dopiero na przełomie 1928 i 1929 r., kiedy to zastępca ludowego komisarza spraw zagranicznych Maksim Litwinow, za zgodą Biura Politycznego KC WKP(b), wyszedł z propozycją podpisania z Polską i Litwą, a następnie także z innymi zachodnimi sąsiadami ZSRR, protokołu bezzwłocznie wprowadzającego w życie postanowienia paktu Brianda–Kellogga. Polska ustosunkowała się do tej propozycji pozytywnie i sfinalizowano ją 9 lutego 1929 r.

Do idei zawarcia paktu o nieagresji powrócono w sierpniu 1931 r. Celem była w tym przypadku przede wszystkim chęć

uregulowania wzajemnych stosunków ze wschodnim sąsiadem na płaszczyźnie bilateralnej. Zachętą zaś parafowanie podobnego paktu francusko-sowieckiego. Warszawa nie wyrzekła się bynajmniej zasady „okrągłego stołu”. Równoległe z Polską swoje pakt negocjowały takie państwa, jak Finlandia, Łotwa, Estonia i Rumunia (ta ostatnia jednakże bezskutecznie, nie mogąc znaleźć formuły porozumienia w sprawie Besarabii). Negocjacje w Moskwie prowadził umiejętnie poseł Stanisław Patek. Zakończono je parafowaniem polsko-sowieckiego paktu o nieagresji w styczniu 1932 r., a następnie jego podpisaniem 25 lipca tegoż roku. Był to niemały sukces dyplomacji polskiej.

* *

2 listopada 1932 r. ministrem spraw zagranicznych został Józef Beck, pełniący od blisko dwóch lat funkcję zastępcy Zaleskiego i uprzednio już przygotowywany przez Piłsudskiego do roli szefa dyplomacji. Marszałek spodziewał się poważnych przewartościowań na arenie międzynarodowej, których symptomy pojawiły się w latach 1931–1932, choćby w postaci niewydolności Ligi Narodów, wywołanej agresją japońską w Mandżurii, czy pustosłowia Międzynarodowej Konferencji Rozbrojeniowej w Genewie. Na nowe czasy potrzebni byli nowi ludzie.

Misja Becka zaczęła się od niepokojących dyplomację polską wydarzeń. 11 grudnia 1932 r. w Genewie podpisano tzw. deklarację pięciu mocarstw (USA, Wielka Brytania, Francja, Niemcy i Włochy), która dawała chwiejącej się już mocno Republice Weimarskiej równouprawnienie w dziedzinie zbrojeń. Mocarstwa zachodnie kroczyły dalej drogą ustępstw. 30 stycznia 1933 r. kanclerzem Niemiec został Adolf Hitler. W historii ludzkości otwierał się jeden z najtragiczniejszych rozdziałów.

Krótko po objęciu urzędu nowy kanclerz udzielił wywiadu opublikowanego następnie na łamach brytyjskiej gazety „Sunday

Express”, w którym nazwał „odrażającą niesprawiedliwością” fakt pozostawiania Pomorza w granicach Polski. Beck, mający dar ujmowania spraw skomplikowanych w sposób przejrzysty i lapidarny, ripostował szybko, podkreślając, że polityka polska wobec Niemiec będzie dokładnie taka sama, jak polityka Niemiec wobec Polski, a zatem więcej w tym względzie zależy od Berlina niż od Warszawy (15 lutego 1933 r.). Przemówienie to w sejmowych kuluarach nazwano „Jak Kuba Bogu, tak Bóg Kubie”. Faktycznie jego znaczenie trudno przecenić. Dano Berlinowi do zrozumienia, że Polska nie będzie się biernie przyglądać nawet słownym atakom wymierzonym przeciwko niej. Ta twarda postawa miała przekonać Hitlera, że Warszawa przyjęła kurs stanowczy i warto się z nią liczyć.

W rzeczywistości zaś Piłsudski z Beckiem myśleli o uregulowaniu stosunków polsko-niemieckich na podstawie układu bilateralnego, a zatem tak, jak zostało to uczynione z ZSRR. Opatrzony instrukcjami poseł w Berlinie, Alfred Wysocki, udał się 2 maja 1933 r. do Hitlera, chcąc wysondować jego prawdziwe zamiary wobec Gdańska i Polski. Efekty przeszły oczekiwania. Hitler dał do zrozumienia, że byłby gotów porozumieć się z Rzeczpospolitą na zasadzie dwustronnego porozumienia. Kurs ulegał zatem zmianie, jakże pożądanej przez Piłsudskiego. Dalsze rozmowy w Berlinie prowadził następca Wysockiego, Józef Lipski. Polski dyplomata, kierując się instrukcjami Becka, celowo i świadomie nie dość szczegółowo informował o ich przebiegu francuskich sojuszników. Chodziło o to, aby podkreślić samodzielność polityki i zdjąć z Polski etykietkę klientki Francji, która pokutowała gdzieś na europejskich salonach. Tymczasem uregulowanie stosunków z Niemcami stało się tym bardziej pilne, że Hitler w październiku 1933 r. wycofał się z prac Międzynarodowej Konferencji Rozbrojeniowej w Genewie i opuścił Ligę Narodów. Piłsudski nakazał przystąpić do jak naj-

szybszego sfinalizowania rozmów o układzie bilateralnym, a Hitler po rozmowie z Lipskim (15 listopada 1933 r.) wychodził temu naprzeciw. Żadnej ze stron nie zależało na wprowadzaniu zbędnych klauzul prawnych i stosunkowo prosty tekst został szybko uzgodniony.

Polsko-niemiecką deklarację o niestosowaniu przemocy podpisano 26 stycznia 1934 r. Wbrew plotkom krążącym po Europie, ze wskazaniem na Moskwę, Pragę i Paryż, układowi temu nie towarzyszyła żadna tajna klauzula. W ten sposób polityka „równych odległości” zyskała drugi, po pakcie o nieagresji z Sowietami, jakże potrzebny filar. Namacalnymi efektami tego kroku było zakończenie polsko-niemieckiej wojny celnej, ukrócenie propagandy antypolskiej płynącej z Rzeszy oraz uciszenie, na wyraźny rozkaz z Berlina, mniejszości niemieckiej w Polsce, która ostentacyjnie zaczęła nawet manifestować swoją lojalność wobec Rzeczypospolitej. W gruncie rzeczy wcale nie było to małe, aczkolwiek motywy, którymi kierowały się obie strony, były zupełnie różne. Dla Warszawy owa – jak mówiono – „linia 26 stycznia” stawała się kanonem polityki, chociaż Piłsudski nie bez racji mówił swoim współpracownikom, że nie przetrwa ona dłużej niż pięć lat. Nie było jednak lepszej formy porozumienia z Niemcami, a cały paradoks polegał na tym, że osiągnięto je w okresie rządów Hitlera, marzącego o *Lebensraum* na Wschodzie. Dla Berlina podpisanie układu z Polską miało charakter doraźny i taktyczny. Wódz III Rzeszy potrzebował czasu i spokoju na wschodniej granicy, aby wzmocnić swoją władzę wewnątrz i przygotować się do ekspansji zewnętrznej. Na Zachodzie, a zwłaszcza nad Sekwaną, oraz na Wschodzie deklarację przyjęto chłodno. Polskę oskarżano o złamanie frontu izolacji III Rzeszy na arenie międzynarodowej. Faktycznie trudno o takowej izolacji mówić, skoro do Berlina ustawiała się kolejka chętnych do rozmów, a na jej przedzie stali Francuzi.

Obawiano się także, że Polska, podpisując układ z Niemcami, celowo i świadomie kieruje rewizjonizm hitlerowski ku krajom położonym na południowym wschodzie: Austrii, Czechosłowacji i dalej na Bałkany.

Przy okazji polsko-niemieckiej deklaracji warto poruszyć problem tzw. wojny prewencyjnej lub nawet działań prewencyjnych, które strona polska miała proponować Francji przeciwko Niemcom krótko po objęciu władzy przez Hitlera. Wszelkie pogłoski na ten temat były zresztą podczas spotkań z dyplomata-
mi państw obcych stanowczo dementowane przez Becka. Nie oznacza to bynajmniej, że krążąc po dyplomatycznych salonach, czy bardziej w ich kuluarach, nie miały one realnych podstaw. Po co zatem je rozsiewano? Wszak Piłsudski nie miał złudzeń, że Francja owiana duchem Locarno i pacyfizmu nie podejmie tego typu propozycji i odmówi wspólnej z Polską akcji zbrojnej przeciw Niemcom. O wiele rozsądniejszy wydaje się pogląd, że właściwym adresatem owych sygnałów był Hitler, a forma akcji niczym innym, jak rodzajem wywieranej nań presji, aby jak najszybciej zasiadł z Polakami do obrad. Nie było przecież rzeczą przypadku, że pogłoski o wojnie prewencyjnej ze szczególną intensywnością krążyły od stycznia do kwietnia 1933 r., a zatem w okresie bezpośrednio poprzedzającym rozmowę Wysocki–Hitler, a następnie jesienią 1933 r., a zatem przed spotkaniem Lipski–Hitler.

Niezwykle groźnym wydarzeniem dla polskiej dyplomacji był zgłoszony w marcu 1933 r. przez Mussoliniego projekt tzw. paktu czterech, z udziałem Włoch, Wielkiej Brytanii, Francji i Niemiec. Zawierał on w sobie jawne przesłanki dyktatu mocarstw, które poza strukturami Ligi Narodów miały rozstrzygać o kwestiach dotyczących mniejszych państw. Można na ów projekt spojrzeć jeszcze inaczej – mocarstwa swoje problemy chciały rozwiązywać kosztem krajów mniejszych i słabszych, bez

pytania ich o zgodę, a nawet o zdanie. Być może projekt Mussoliniego, który zamierzał w ten sposób zaspokoić swoje mocarstwowe ambicje był najlepszym dowodem skrajności panujących w Europie. Wszak z jednej strony mocarstwa nie pozwalały nawet przesunąć przecinka w pakcie Ligi Narodów czy też innych wynikających z niego dokumentach, a z drugiej strony te same mocarstwa za chwilę cały system ligowy gotowe były obalić. Projekt paktu czterech zapowiadał dyktat monachijski, a nawet jałtański, gdzie mocarstwa rozstrzygały o losie innych bez ich udziału. Dla Polski był on groźny z jeszcze innego powodu. Mussolini, zgłaszając swój pomysł, rozpowiadał jednocześnie w kuluarach o konieczności rewizji granicy polsko-niemieckiej, a zwłaszcza negatywnie wypowiadał się o tzw. korytarzu, czyli o Pomorzu. Nic zatem dziwnego, że Warszawa zareagowała stanowczo. Nowo mianowany ambasador w Rzymie, Jerzy Potocki, uzgadniając wcześniej swój krok z Beckiem, ostentacyjnie podał się do dymisji. Swoją misję, która miała się przyczynić do wzmocnienia więzów pomiędzy Italią i Polską, nie bez racji uznał za bezprzedmiotową. Projekt paktu czterech spowodował największe napięcie w stosunkach polsko-włoskich w okresie międzywojennym. Na szczęście przygotowywany pakt nie wszedł w życie nawet w złagodzonej formie.

W lutym 1934 r. Beck pojechał z oficjalną wizytą do Moskwy. Efektem owej podróży było przedłużenie paktu o nie-agresji o 10 lat, do 31 grudnia 1945 r., i podniesienie poselstw obu krajów do rangi ambasad. Polityka „równych odległości” święciła triumfy. Być może błędem Becka było to, że nie poczekał jeszcze kilku dni, aby zostać przyjętym na Kremlu przez samego Stalina, sprawującego już w tym czasie niepodzielną, dyktatorską władzę w ZSRR.

Już współcześni, ze szczególnym wskazaniem na Stanisława Cata-Mackiewicza, zarzucali Beckowi, że sam

złamał politykę „równych odległości”, nadmiernie zbliżając się do Berlina, oddalając tym samym od Moskwy. Czy rzeczywiście tak było? Posługiwanie się w tym przypadku kategoriami własnych – rzekomych czy urojonych – sympatii polskiego ministra (wobec Niemiec, a nawet ideologii faszystowskiej) lub antypatii (do ZSRR i komunizmu w bolszewickim wydaniu) jest bezprzedmiotowe. Beck był zbyt rozsądnym politykiem, aby nie umieć oddzielić racji stanu państwa od własnego „widzi mi się”. Mierzenie owych sympatii czy antypatii częstotliwością wizyt w Moskwie, gdzie był jako szef dyplomacji tylko raz, i Berlinie, gdzie bywał przy różnych okazjach wielokrotnie, też do niczego nie prowadzi. Warto natomiast pamiętać, że najpierw Piłsudski, a po jego śmierci Beck wielokrotnie i konsekwentnie odrzucali składane w mniej lub bardziej zawoalowanej formie niemieckie propozycje wspólnego marszu na Wschód i realizowanie jakiś wspólnych interesów na Ukrainie kosztem Pomorza, Śląska czy Gdańska. Tego typu pomysły, oczywiście nie tylko z własnej inicjatywy, zgłaszał już w grudniu 1933 r. prezydent Senatu Wolnego Miasta Gdańska Hermann Rauschning, a potem często powtarzał chętnie przyjeżdżający do Białowieży na polowania premier Prus Hermann Göring.

Jeszcze za życia Piłsudskiego polityka „równych odległości” została poddana niełatwej próbie. Po opuszczeniu przez Niemcy Ligi Narodów, w Moskwie opracowano projekt wielostronnego paktu, który krępowałby Hitlera, a jednocześnie otwierałby ZSRR drogę na genewskie salony. Projekt ten został przedstawiony Francuzom pod koniec 1933 r. W Paryżu go doprecyzowano, a minister spraw zagranicznych Jean Louis Barthou stał się jego wielkim orędownikiem. Do historii przeszedł on pod nazwą koncepcji paktu wschodniego. Jeszcze w trakcie przygotowań do ogłoszenia projektu, w kwietniu 1934 r., Barthou udał się z oficjalną wizytą do Polski. Był zresztą

pierwszym szefem dyplomacji francuskiej, który to uczynił! W trakcie rozmów z Barthou poruszono cały szereg aktualnych zagadnień politycznych, nie omijając spraw trudnych, jak chociażby stosunek obu sojuszników do Niemiec. Piłsudski nie bez racji przekonywał przy tym swojego rozmówcę, że Francja wcześniej czy później pójdzie na dalsze ustępstwa wobec III Rzeszy. Sam projekt paktu wschodniego dyplomacja francuska przedstawiła stronie polskiej pod koniec maja 1934 r. Zakładał on podpisanie wielostronnego porozumienia o wzajemnej pomocy, obejmującego takie państwa, jak Polska, Niemcy, ZSRR, Czechosłowacja, Litwa, Łotwa, Estonia i Finlandia, oraz zawarcie dwustronnego układu między Paryżem i Moskwą, wedle postanowień którego Sowietci staliby się gwarantem granicy francusko-niemieckiej (a zatem paktu reńskiego), natomiast Francja gwarantowałaby ów multilateralny pakt obejmujący osiem wymienionych wyżej państw. Wszystko to miało być wkomponowane w pakt Ligi Narodów, co zapowiadało rychłe już wprowadzenie ZSRR do Genewy przy walnym udziale dyplomacji francuskiej. Polska, oficjalnie we wrześniu 1934 r., powiedziała tej koncepcji stanowcze nie! Przyczyn odmowy było wiele. Przede wszystkim Piłsudski z Beckiem obawiali się, że pakt wschodni skutecznie godzi w zasady polityki „równych odległości”, a jej filary w postaci układu z ZSRR i Niemcami zostaną w najlepszym razie zepchnięte na plan dalszy. W Warszawie takim państwom jak Czechosłowacja i Litwa nie chciano udzielać żadnych dodatkowych gwarancji poza tymi, które wpływały z paktu Ligi Narodów. Zadawano pytanie, dlaczego w koncepcji tej nie uwzględniono innego sąsiada ZSRR, a mianowicie Rumunii? Oglądano się na reakcję Berlina, gdzie doskonale zdawano sobie sprawę, że koncepcja paktu wschodniego w gruncie rzeczy jest wymierzona przeciw III Rzeszy. Pytano wreszcie, jak ów projekt można pogodzić

z paktem Ligi Narodów, skoro Niemcy i ZSRR nie są jej członkami? Nad Wisłą stawiano ponadto zasadną wszak kwestię – w jaki sposób Sowieci mieliby przyjść z pomocą napadniętej Litwie czy Czechosłowacji, skoro z krajami tymi nie mają wspólnej granicy? Odpowiedź nasuwała się sama. W pierwszym przypadku musieliby przejść przez Wileńszczyznę, w drugim przez Małopolskę Wschodnią. Opinia Piłsudskiego, która zresztą stała się dyrektywą dla Becka na następne lata, była zupełnie jasna – „raz wejdą, już nigdy nie wyjdą”. Ponadto nie bez racji obawiano się, że pakt wschodni posłużyłby Paryżowi do przerzucenia zobowiązań sojuszniczych wobec Polski na Sowieców, a tego nikt – może poza grupką komunistów – nad Wisłą nie chciał.

Pokłosiem koncepcji zgłoszonej przez Barthou było wejście ZSRR do Ligi Narodów ze stałym miejscem w Radzie, francusko-sowiecki pakt o wzajemnej pomocy (2 maja 1935 r.), pozbawiony jednakże konwencji wojskowej, oraz takiż pakt zawarty z Sowietami dwa tygodnie później przez Czechosłowację. Do obu tych układów dyplomacja polska odniosła się z dużą powściągliwością, dostrzegając w nich osłabienie sojuszu z Francją i wzrost roli ZSRR na arenie europejskiej.

Odrzucenie przez Polskę koncepcji paktu wschodniego, do którego dyplomacja francuska powracała jeszcze wielokrotnie (acz w zmodyfikowanej formie) w 1935 r., pogorszyło stosunki na linii Warszawa–Paryż oraz Warszawa–Moskwa. Ani nad Wisłą, ani nad Sekwaną nie chciano jednakże wyrzekać się sojuszu zawartego w 1921 r. Miał on swoją praktyczną wartość dla obu partnerów. Piłsudski był tego świadom i nakazał alians ten utrzymywać w mocy, chociaż wiedział, że w Paryżu żadna ważna decyzja w zakresie polityki międzynarodowej nie zostanie podjęta bez uprzedniej akceptacji Londynu. Dlatego też nakazał Beckowi inicjowanie przy każdej nadarzającej się okazji działań

zmierzających do zbliżenia z Wielką Brytanią. Wierny uczeń realizował tę politykę od wiosny 1935 r., kiedy to podejmował w Warszawie lorda Tajnej Pieczęci, a w niedalekiej już przyszłości szefa dyplomacji brytyjskiej, sir Anthony'ego Edena.

Źle przyjęto na arenie międzynarodowej fakt wypowiedzenia przez Polskę traktatu o ochronie praw mniejszości narodowych, czyli tzw. małego traktatu wersalskiego, który przez lata tak mocno dał się Warszawie we znaki. Stało się to 13 września 1934 r., ledwie na pięć dni przed wejściem ZSRR do Ligi Narodów. Krok ten był w pełni uzasadniony, bo pomni doświadczeń ze skargami niemieckimi dyplomaci polscy obawiali się, że teraz strona sowiecka będzie korzystać z owego dokumentu, aby ingerować w wewnętrzne sprawy Rzeczypospolitej. Był to zarazem dowód samodzielnej, niezależnej polityki polskiej, która dbając o własne interesy, odważnie występowała wbrew woli mocarstw. Wszak prawnego położenia mniejszości narodowych wypowiedzenie tego traktatu w niczym nie zmieniło. Były one regulowane konstytucją Rzeczypospolitej i innymi przepisami wewnętrznymi. Po tym fakcie i po powrocie Becka z Genewy Piłsudski uroczyście poczęstował swojego ministra kieliszkiem tokaju, co zdarzało mu się niezwykle rzadko i przy zupełnie wyjątkowych okazjach.

Kolejną próbą dla Becka było zajęcie przez Niemców w sobotę 7 marca 1936 r. zdemilitaryzowanej strefy nadreńskiej. Ten dzień tygodnia Hitler wybrał nieprzypadkowo, czekając w wielkim napięciu na reakcję mocarstw i licząc po cichu, że do poniedziałku nastroje opadną. Rzeczywiście, intuicja nie zawiodła Führera. Sprawy mogły potoczyć się jednak różnie i Beck musiał dostosować taktykę do rozwoju wydarzeń. Jeszcze tego samego dnia po południu wezwał do siebie ambasadora francuskiego Leona Noëla i oznajmił mu, że w zaistniałej sytuacji i w ramach sojuszu, gdyby doszło do starć zbrojnych,

Polska wypełni swoje zobowiązanie. Minister poprosił także ambasadora, aby przekazał to stanowisko swemu rządowi. W poniedziałek 9 marca podobną deklarację sojuszniczą już w Paryżu potwierdzili nasi przedstawiciele dyplomatyczni władzom cywilnym i wojskowym. We Francji jednak mało kto miał ochotę ostro i otwarcie występować przeciw Hitlerowi. Górze brał wszechogarniający pacyfizm, by nie powiedzieć defetyzm. Wedle źródeł francuskich deklaracja złożona przez Polaków nie została nawet przedstawiona członkom francuskiego gabinetu. Beck, dokładnie informowany przez ambasadę w Paryżu, musiał mieć świadomość takiej postawy jeszcze przed kryzysem. Jednakże nie ulega wątpliwości, że w przypadku czynnego wystąpienia Francji Polska stanęłaby u jej boku. Z drugiej jednak strony minister Beck osobiście podyktował komunikat, upubliczniony później przez Agencję „Iskry”, w którym odpowiedzialnością za kryzys nadreński obarczono Francję. Identycznie sprawę przedstawiała strona niemiecka, traktująca jako pretekst do zajęcia Nadrenii ratyfikację przez senat francuski traktatu o wzajemnej pomocy z Sowietami z maja 1935 r. Po co zatem owa podwójna gra Becka, który wykonał ukłon tak pod adresem Paryża, jak i Berlina? Odpowiedź w gruncie rzeczy jest prosta. Sytuacja, do jakiej doszło w Nadrenii, była dla szefa polskiej dyplomacji wielce niewygodna, bo w zasadzie wymagała od niego opowiedzenia się, po której stronie stoi: czy po stronie sojuszniczej Francji, czy też po stronie Niemiec, trzymając się „linii 26 stycznia”. Rzecz w tym, że Beck w ogóle nie chciał i nie zamierzał się opowiadać w sposób ostentacyjny. Koszty takiej jawnej postawy byłyby dla Polski zbyt duże – albo utrata sojuszu francuskiego, albo gwałtowne pogorszenie stosunków z zachodnim sąsiadem. Dobrze wiedział, że sytuacja nie jest na tyle zaogniona, aby doszło do konfliktu zbrojnego. Upewniała go w tym polityka ugodowości prowadzona od lat

przez Francję. Grał zatem na dwie strony. Nie chciał rezygnować z sojuszu z Francją, bynajmniej nie chciał również łamać „linii 26 stycznia”, wszak nie bez trudu wypracowanej. Dobrym komentarzem do tej sytuacji będą jego własne słowa: „nie mówi się w czasie pokoju tego, co się będzie robić w czasie wojny”. W marcu 1936 r. sytuacja do wojny jeszcze nie dojrzała, a wkrótce zamieszanie wokół remilitaryzacji Nadrenii ugrzęzło w jałowych dyskusjach.

Postawa Polski w okresie kryzysu nadreńskiego przyniosła bardzo wymierny efekt w postaci ożywienia sojuszu z Francją. W sierpniu 1936 r. przyjechał do Warszawy szef Sztabu Generalnego armii francuskiej gen. Maurice Gamelin. Krótko potem rewizytował go gen. Edward Śmigły-Rydz, dając tym samym wyraz chęci aktywniejszego osobistego udziału w polskiej polityce zagranicznej. 6 września 1936 r. podpisano w podparyskim Rambouillet układ, na mocy którego Francja udzieliła Polsce pożyczki w wysokości 2 mld franków. Suma ta została później zwiększona o kolejne 600 mln franków. Pieniądze, których zresztą strona polska nie zdołała do wybuchu wojny w pełni wykorzystać, przeznaczono na cele obronne (m.in. Centralny Okręg Przemysłowy), zakup sprzętu wojskowego oraz rozbudowę linii kolejowej łączącej Wybrzeże ze Śląskiem.

W latach 1932–1939 dyplomacja polska zaktywizowała swoje stosunki z krajami skandynawskimi i bałtyckimi. Piłsudski i Beck uważali ten region za szczególnie interesujący, nie tylko ze względu na kwestie gospodarcze, ale także, a może nawet przede wszystkim, ze względu na przekonanie o politycznej stabilności krajów nordyckich, a zatem traktowanie ich jako czynnika, z którym warto wejść w bliższe kontakty. Stabilizację północnej Europy przeciwstawiano w Warszawie niestabilnej sytuacji geopolitycznej panującej na południe od Karpat. Beck chętnie i stosunkowo często odwiedzał takie kraje jak Łotwa, Estonia,

Szwecja czy nawet Norwegia. Nawiązał bardzo dobre kontakty z szefem dyplomacji szwedzkiej Rickardem Sandlerem, którego uważał za jednego z najwybitniejszych polityków swej epoki. W szerszej koncepcji aktywność Polski w tym rejonie wiązała się z szukaniem przeciwwagi dla Sowietów, z jednej strony, i Niemiec, z drugiej. W dalekich, choć niezbyt skonkretyzowanych planach myślano nawet o realizacji idei tak zwanego „Między-morza”, stworzenia w Europie – przy aktywnym udziale Polski – systemu powiązań pomiędzy państwami znajdującymi się między ZSRR i III Rzeszą. Nie był to zresztą projekt nowy, bo jego załączki znaleźć możemy już w latach 20., w postaci chociażby idei związku bałtyckiego, a inną formę kontynuacji w dobie II wojny światowej w wykonaniu rządu gen. Władysława Sikorskiego.

Rok 1937 był tylko z pozoru spokojny. Tak naprawdę szybkim tempem szły zbrojenia niemieckie. Hitler nie przestawał jednakże zapewniać Becka o trwałości „linii 26 stycznia”. W listopadzie 1937 r. podpisano polsko-niemiecką deklarację w sprawie traktowania mniejszości narodowych, która zresztą nie nakładała na Warszawę żadnych dodatkowych zobowiązań międzynarodowych. Nie udało się natomiast uzyskać od Hitlera uznania statutu Wolnego Miasta Gdańska. Było to bardzo wymowne! Rok 1937 to również apogeum czystek, które Stalin przeprowadzał w aparacie partyjnym, państwowym, w Armii Czerwonej, a nawet w strukturach filaru władzy, jakim było NKWD. W stolicach wielu krajów, nie wyłączając Warszawy, górę brał pogląd, że ZSRR pogrąża się w wewnętrznym chaosie, osłabia swój potencjał, a co za tym idzie, przez najbliższy okres nie będzie odgrywać na arenie międzynarodowej znaczącej roli. W dłuższej perspektywie ten tok myślenia, będący udziałem wielu dyplomacji, nie tylko polskiej, okazał się błędny.

Już początek 1938 r. zapowiadał daleko idące przewar-tościowanie na arenie międzynarodowej. 12 marca Hitler przy-

łączył Austrię do Niemiec. Zachowanie Becka było ostentacyjnie spokojne. Wydarzenie to nie stanowiło dla polskiej dyplomacji zaskoczenia, a pomny doświadczeń lat ubiegłych, Beck wiedział, że nie wywoła ono stanowczej reakcji mocarstw czy też Ligi Narodów. Wracając z Włoch, szef dyplomacji polskiej kilka dni po Anschlussie przejechał przez Wiedeń, gdzie odbył rozmowę z namiestnikiem Hitlera, Arthurem Seyss-Inquartem, po czym najspokojniej w świecie nakazał przekształcenie poselstwa RP w Austrii w jeden z wielu konsulatów funkcjonujących na terenie III Rzeszy, dostosowując się tym samym do rozwoju sytuacji.

Z perspektywy Warszawy istotniejszą sprawą było uregulowanie stosunków z Litwą, które dokonało się niemalże równoległe z akcją Hitlera wobec Austrii. Przyczyną i zarazem pretekstem akcji dyplomatycznej było zastrzelenie przez Litwinów żołnierza Korpusu Ochrony Pogranicza, Stanisława Serafina, który w pogoni za uciekinierem o kilka metrów przekroczył granicę. Za namową Becka postanowiono wystosować do Kowna ultimatum, którego termin szef polskiej dyplomacji celowo przedłużył do 19 marca (dzień imienin Piłsudskiego) i które zawierało tylko jeden postulat – nawiązanie stosunków dyplomatycznych. Pozornie było to niewiele, faktycznie zaś bardzo dużo, bo równało się żądaniu zweryfikowania przez władze litewskie stosunku do państwa polskiego i rezygnację z prowadzonej od blisko 20 lat polityki wobec Warszawy. Środkiem nacisku był w tym przypadku wyjazd marsz. Śmigłego-Rydza do Wilna i gremialne wnoszenie hasła: „Wodzu, prowadź na Kowno”. Akcja dyplomatyczna prowadzona za pośrednictwem placówek obu krajów w Tallinie przyniosła pożądaný efekt – Litwini przyjęli polski warunek. Co więcej, w krótkim czasie stosunki między obu krajami uległy normalizacji do tego stopnia, że obie armie wysyłały na staże do sąsiadów swoich

oficerów, a w maju 1939 r. oficjalną wizytę nad Wisłą złożył głównodowodzący armią litewską, gen. Statys Raštikis. Kowno zachowało w tragicznym wrześniu 1939 r. postawę neutralną wobec Polski, chociaż wywierano nań rozmaite naciski, choćby w sprawie zajęcia Wileńszczyzny. Akcja nawiązania stosunków z Litwą odbiła się szerokim echem w Europie. Mocarstwa zachodnie potępiały formę jej przeprowadzenia. Gorsze było jednak to, że w niektórych kręgach dyplomatycznych ultimatum Warszawy wobec Kowna wiązano z Anshlussem, głosząc dodatkowo krzywdzącą tezę o współdziałaniu Polski i Niemiec w dziele demontażu systemu wersalskiego.

Drugim ważnym wydarzeniem roku 1938 był dokonany w Monachium rozbiór Czechosłowacji i zajęcie Zaolzia przez Polskę. Beck ponownie z ostantacyjnym spokojem podszedł do fali dyskusji, jaka już późną wiosną 1938 r. przelała się przez Europę na temat dalszych losów Czechosłowacji i zamieszkiwanego przez mniejszość niemiecką Sudetenlandu, który Hitler chciał włączyć do Rzeszy. Beck, podobnie jak wcześniej Piłsudski, uważał Czechosłowację za twór sztuczny, pozbawiony historycznego umocowania, na zewnątrz pozornie demokratyczny, a faktycznie będący państwem policyjnym. Drażniło go bezkrytyczne podejście Beneša do wszelkich inicjatyw proponowanych przez Francję, Anglię czy ZSRR. Niepokoiła zaś polityka czechizacji stosowana wobec Polaków na Zaolziu, popieranie przez Pragę irredenty ukraińskiej wymierzonej w Polskę, tolerowanie ośrodka Kominternu działającego w stolicy Czechosłowacji i prowadzącego akcję antypolską, wreszcie udzielanie azylu uciekinierom politycznym, takim jak Wincenty Witos czy Wojciech Korfanty. Pamiętano o niechętniej postawie Pragi wobec zmagającej się z bolszewikami Rzeczypospolitej w 1920 r. Beneš nie pozostawał zresztą dłużny i do szefa polskiej dyplomacji odnosił się z widoczną niechęcią. Trudno jednakże

zgodzić się z tezą, że Beck jesienią 1938 r. kierował się owymi uprzedzeniami i animozjami, podejmując zasadnicze decyzje. Warto podkreślić, że przed południem 30 września 1938 r., po otrzymaniu informacji o decyzjach podjętych w Monachium, rozważał z całą powagą możliwość udzielenia sąsiadom zbrojnej pomocy, jeśli Praga podjęłaby decyzję o walce, której zresztą pragnęła większość czechosłowackiego korpusu oficerskiego. Beck i inni polscy przywódcy wiedzieli dobrze, że połączony potencjał armii polskiej i czechosłowackiej byłby nie-małą, a do tego świetnie uzupełniającą się siłą. O kapitulacji Pragi wobec brutalnych postulatów Hitlera, zgłaszanych przy potakiwaniu Anglików i Francuzów, zadecydowały władze polityczne z Benešem na czele, który chronił tym samym narody zamieszkujące Czechosłowację przed rozlewem krwi.

Beck kierował się jesienią 1938 r. dwiema zasadniczymi przesłankami – zamiarem naprawienia ewidentnej krzywdy, jaką było zajęcie Zaolzia przez Czechów w 1919 r., oraz chęcią obrony praw mniejszości polskiej w Czechosłowacji. Wielokrotnie i stanowczo podkreślał, że Warszawa będzie się dopominać dla Polaków takich regulacji prawnych, jakie uzyska mniejszość niemiecka. W tym przypadku bezwzględnie stawiano znak równości. Akcentując zainteresowanie dyplomacji polskiej sytuacją na południe od Karpat, minister dawał sygnały, że chętnie przyjąłby zaproszenie do Monachium. Jego sugestie nie zostały jednakże uwzględnione i na konferencję nie pojechał. Tym bardziej zdał sobie sprawę, że druga okazja do upomnienia się o prawa Polski do Zaolzia szybko, jeśli w ogóle kiedykolwiek, się nie nadarzy i należy podjąć energiczną akcję dyplomatyczną, a następnie wojskową. Poparły go gremia decyzyjne z prezydentem Ignacym Mościckim i generalnym inspektorem sił zbrojnych marsz. Śmigłym-Rydzem na czele, i niemalże cały gabinet ministrów. Zastrzeżenia co do formy

przeprowadzenia akcji, nie negując wszak jej słuszności, wyrażał jedynie wicepremier Eugeniusz Kwiatkowski. 21 września 1938 r. Beck skierował do Pragi pismo, w którym zażądał „pewnego wyrównania linii” i wypowiedział fragment polsko-czechosłowackiej umowy likwidacyjnej z 1925 r., dotyczącej problemów mniejszościowych. Czesi odpowiedzieli 25 września, proponując rozpoczęcie negocjacji na tematy sporne i zapowiadając ważny list od Beneša do prezydenta Mościckiego. List ten dotarł do Warszawy dopiero 26 września, przy czym opóźnienie to nie było przypadkowe, a akcja została zawczasu uzgodniona między Pragą i Moskwą. Wcześniej bowiem do stolicy Polski dotarła nota sowiecka, utrzymana w ostrym tonie i grożąca wypowiedzeniem paktu o nieagresji z 1932 r., gdyby Rzeczpospolita podjęła agresywne kroki wobec południowego sąsiada. Odpowiedź polska na notę sowiecką była równie ostra i stanowcza.

W obliczu decyzji podjętej podczas konferencji monachijskiej Beck wystosował 30 września 12-godzinne ultimatum do Pragi, żądając odstąpienia Polsce zamieszkanym przez mniejszość polską terenów Śląska Cieszyńskiego i przeprowadzenia na korzyść Rzeczypospolitej korektur granicznych na Spiszu i Orawie. Krótco po południu 1 października polskie ultimatum zostało przyjęte, a oddziały Wojska Polskiego dowodzone przez gen. Władysława Bortnowskiego w ciągu kilku następných dni zajęły oddane Polsce tereny. Doszło przy tym do zgrzytu w stosunkach z Niemcami, którzy pragnęli zająć część Zaolzia z węzłem kolejowym w Boguminie. Po krótkich perswazjach Hitler ustąpił, zapewne głęboko przekonany, że niebawem teren ten i tak znajdzie się w jego rękach. Rozgłos, po części autentyczny, po części zaś inspirowany przez czynniki rządowe, oraz przedstawienie zajęcia Zaolzia jako wielkiego sukcesu Rzeczypospolitej były Beckowi bardzo

nie na rękę. Szef dyplomacji zdawał sobie sprawę z tego, że polska akcja spotka się potępieniem mocarstw zachodnich, szukających usprawiedliwienia dla ustępliwej wobec Hitlera polityki monachijskiej. Najgłośniej potępiali ją grabarze Czechosłowacji, po raz kolejny sugerując, że musiała być ona wcześniej skoordynowana z akcją Berlina, na którą sami dali przyzwolenie.

Jednoznaczna ocena posunięć dyplomacji polskiej wobec Czechosłowacji jesienią 1938 r. nie jest możliwa. Z perspektywy historycznej można podkreślać jej krótkowzroczność. Wszak zapoczątkowany w Monachium rozpad południowego sąsiada pozwalał III Rzeszy okrążyć od południa Polskę i zagarnąć nie mały potencjał gospodarczy oraz militarny Czech i Moraw. Czy jednak w 1938 r. Beck czy ktokolwiek inny był w stanie zmusić czechosłowackich polityków do podjęcia decyzji o zbrojnym oporze? Zapewne gdyby doszło do wojny niemiecko-czechosłowackiej znalezienie wyjścia byłoby o wiele łatwiejsze, a rozwiązanie wszystkich spornych problemów między Warszawą i Pragą dokonałoby się inną drogą. Kiedy jednak wiadomo już było, że Beneš skapituluje wobec żądań Hitlera, popartych biernością Anglii i Francji, czy można było nie podjąć działań w celu obrony Polaków mieszkających w Czechosłowacji i pozostawić ich na łasce czy niełasce Hitlera?

W drugiej połowie października 1938 r. Beck udał się z wizytą do Bukaresztu w celu namówienia sojuszników do inspirowanej przez Budapeszt akcji dalszego rozbioru Czechosłowacji, a dokładnie oderwania od niej, a następnie podzielenia między Węgry i Rumunię Rusi Podkarpackiej. Propozycja ta została jednak stanowczo odrzucona przez Rumunów. Jaki był cel owej dyplomatycznej podróży polskiego ministra? Wychodził on z założenia, że dalszy rozkład Czechosłowacji jest nieunikniony i trudno mu się przeciwstawić. Od dawna teren Rusi Podkarpac-

kiej uważano w Warszawie za zupełnie luźno związany z Pragą. Beck był zatem zdania, że jak najszybciej należy doprowadzić do poszerzenia odcinka granicznego z sojuszniczą Rumunią i uzyskać wspólną granicę z zaprzyjaźnionymi Węgrami. W tym dostrzegał wzmocnienie bezpieczeństwa Polski od południa. Tym razem trudno w jego działaniu nie dostrzec jednak wyraźnej niechęci wobec pogiętej już w Monachium Czechosłowacji. Wspólną granicę z Węgrami Polska uzyskała w marcu 1939 r. na skutek arbitrażu wiedeńskiego. Nie pozostawało to bez znaczenia w okresie kampanii wrześniowej, gdyż Węgrzy odmówili Niemcom prawa do korzystania z ich terytorium podczas akcji militarnej przeciw Polsce.

* *

Przełom w stosunkach polsko-niemieckich nastąpił 24 października 1938 r. Tego dnia szef dyplomacji III Rzeszy Joachim von Ribbentrop wezwał ambasadora Józefa Lipskiego i zażądał od niego uzyskania zgody Warszawy na szereg ustępstw, w tym włączenia Wolnego Miasta Gdańska do Rzeszy oraz budowy eksterytorialnej autostrady i linii kolejowej przez terytorium Pomorza. Było już wiadomo, że Polska stanie się kolejnym państwem na celowniku Hitlera. Warszawa nie chwaliła się przed światem żądaniami niemieckimi, ale mocarstwa szybko się o nich dowiedziały. Nad Wisłą z całą odpowiedzialnością przestudiowano warunki postawione przez Ribbentropa i z całą stanowczością je odrzucono. W ciągu najbliższych miesięcy, do marca 1939 r., były one zresztą wielokrotnie powtarzane i tyleż samo razy odrzucane. Beck osobiście uczynił to 5 stycznia 1939 r. podczas spotkania z Hitlerem w Berchtesgaden i pod koniec tego miesiąca w trakcie rozmów z Ribbentropem w Warszawie. Szef polskiej dyplomacji stawiał sprawę jasno

– „chwiejne stanowisko z naszej strony prowadziłyby nas w sposób nieunikniony na równię pochyłą, kończącą się utratą niepodległości i rolą wasala Niemiec”.

Wydawało się natomiast, że udało się doprowadzić do odprężenia w stosunkach z ZSRR, mocno wszak nadwyrężonych po kryzysie czechosłowackim. 28 listopada 1938 r. publicznie potwierdzono wszystkie dotychczasowe umowy podpisane przez Polskę i Sowiety, a nawet uzgodniono zasady zwiększenia obrotów handlowych i rozwiązania spraw konsularnych. Szybko miało się jednak okazać, że nie jest to trwały kurs Moskwy, a jedynie działanie o charakterze taktycznym.

Dosyć nieoczekiwanie w końcu marca 1939 r. strona brytyjska zwróciła się do Warszawy z pytaniem, czy nie będzie miała nic przeciwko udzieleniu przez Wielką Brytanię jednostronnych gwarancji niepodległości Rzeczypospolitej? Propozycja ta została przyjęta i odpowiednie oświadczenie premier Neville Chamberlain złożył w Izbie Gmin 31 marca. Warto podkreślić, bo będzie to miało swoje znaczenie w latach II wojny światowej, że Brytyjczycy gwarantowali nam niepodległość, natomiast nie gwarantowali granic. Zastanówmy się nad motywami kroku podjętego przez Londyn. Grała tu bez wątplenia swoją niemałą rolę stara, tradycyjna i wciąż aktualna polityka *balance of power*. Nad Tamizą nikt już nie miał wątpliwości, że po zagarnięciu Austrii, Czech i Moraw (w połowie marca 1939 r.), uzależnieniu od Berlina Słowacji i wchłonięciu Kraju Kłajpedy (także w marcu 1939 r.), III Rzesza tak bardzo urosła w siłę, że stała się zagrożeniem dla równowagi w Europie i trzeba podjąć działania co najmniej neutralizujące Hitlera. Z drugiej strony owe gwarancje udzielone Polsce nie były niczym innym, jak formą dyplomatycznego nacisku, kompletnie nieskutecznego wobec Führera. Wydaje się, że zbyt daleko posuniętym jest dosyć popularny pogląd o jakoby

makiawelicznym zagranium Londynu, który dając Polsce gwarancje, tym samym wskazał Hitlerowi pierwszy cel ataku, odsuwając to niebezpieczeństwo od Zachodu. Trudno natomiast nie zgodzić się z tezą, że Führer mógł się spodziewać ataku ze strony Polski w przypadku, gdyby sam uderzył na państwa Europy Zachodniej, podobnie jak przewidywać mógł bierność ze strony państw Europy Zachodniej wówczas, gdy obiektem jego agresji będzie Polska. Doświadczenia Czechosłowacji z 1938 r. były tu wymowne. Zatem najpierw należało wyeliminować Polskę, a jeszcze wcześniej możliwie skutecznie izolować ją na arenie międzynarodowej. Do wykonania tego ostatniego zadania potrzebny był udział ZSRR. Tymczasem Moskwa, a właściwie sam Stalin, już w styczniu 1939 r. wysłała do Berlina pierwszy sygnał, że porozumienie obu totalitarnych reżimów jest możliwe. Rozmowy niemiecko-sowieckie, początkowo na niskim szczeblu, rozpoczęto wiosną. Niemalą rolę odegrał w nich Geоргий Astachow, kierujący ambasadą sowiecką w Berlinie.

Wróćmy jednak do polityki polskiej. Wbrew pozorom decyzja o przyjęciu brytyjskich gwarancji i przekształceniu ich w gwarancje dwustronne, do czego Beck doprowadził w trakcie wizyty w Londynie (3–6 kwietnia 1939 r.), nie była łatwa. Nie możemy zapominać, że szef polskiej dyplomacji postępował wedle wskazówek nieżyjącego od czterech lat Piłsudskiego, który pozostawał dla niego najwyższym autorytetem. Nigdy wcześniej dyrektywy zmarłego Marszałka nie były sprzeczne wobec siebie. Tym razem jednak tak właśnie było. Z jednej strony zbliżenie do Wielkiej Brytanii, a nawet przekształcenie gwarancji w sojusz, było osiągnięciem jakże pożądanym przez dyplomację polską, z perspektywy lat 20. czy nawet roku 1935 wydającym się niezwykle trudnym, wręcz nieosiągalnym. Z drugiej zaś, uzyskanie tego zbliżenia było równoznaczne z zerwaniem innej

wytycznej Piłsudskiego, „linii 26 stycznia”, a w gruncie rzeczy pożegnaniem z polityką „równych odległości”, czy może bardziej precyzyjnie – marzeniami o jej odbudowie. Inaczej niż w okresie kryzysu nadreńskiego w 1936 r., gdy można było jeszcze grać na dwie strony, tym razem trzeba było wybierać i jasno się określić, czy idzie się z Hitlerem przeciwko Zachodowi, czy też idzie się z Zachodem przeciwko Hitlerowi?! Zmuszał do tego rozwój wydarzeń. Tę kluczową decyzję Beck winien był uzgodnić z Mościckim i Śmigłym. Na dobrą sprawę podjął ją sam, bo gwarancje jednostronne przekształcił w dwustronne bez porozumienia z Warszawą. Zgodę najwyższych czynników w państwie uzyskał *post factum*. Swoistym paradoksem historii było to, że Polska była jednym z nielicznych w Europie krajów rządzonych autorytarnie, które świadomie i z przekonaniem wybrały drogę sojuszu z demokracjami zachodnimi.

Na konsekwencje tego wyboru nie trzeba było długo czekać. 28 kwietnia 1939 r. Hitler wypowiedział w Reichstagu polsko-niemiecką deklarację o niestosowaniu przemocy z 1934 r. oraz niemiecko-brytyjski układ morski z 1935 r. Z kolei 5 maja Beck wygłosił w polskim parlamencie swoje słynne przemówienie, w którym mówił o tym, że Polska nie da się odepchnąć od Bałtyku i że nie zna pojęcia honoru za wszelką cenę. Z sympatią do tych słów odnieśli się nawet przeciwnicy polityczni ministra oraz osoby postronne. Swoją drogą warto przypomnieć, że wiele lat wcześniej nie kto inny jak David Lloyd George powiedział, że „wielkie mocarstwo [Anglia – przyp. M.W.] nie zna pojęcia honoru za wszelką cenę”. Chyba już nigdy nie dowiemy się, czy Beck inspirował się słowami tak nie lubianego nad Wisłą brytyjskiego polityka, czy też był to zbieg okoliczności.

W maju 1939 r. odnowiono przymierze militarne z Francją, podpisując protokół, w którym sojusznik zobowiązywał się do rozpoczęcia 15 dni po przeprowadzeniu powszechnej mobili-

zacji ofensywy na froncie zachodnim. Paryż uzależnił jednakże wprowadzenie w życie tego protokołu od podpisania układu politycznego. Wielce symptomatyczne było zaś to, że z zawarciem umowy politycznej Francuzi konsekwentnie zwlekali aż do września 1939 r., oglądając się przy tym na Londyn.

W lecie 1939 r. Polska, wbrew wysiłkom dyplomatycznym, stawała się coraz bardziej przedmiotem w rozgrywce między mocarstwami. Stroną rozdającą karty w tej grze była Moskwa. Stalin znalazł się w komfortowej sytuacji. Mógł szantażować Niemców rozmowami z Francuzami i Anglikami, a tych ostatnich negocjacjami z III Rzeszą. Tak też czynił, wyciągając jak najwięcej korzyści dla siebie. Kiedy wydawało się, że jest całkiem możliwe podpisanie francusko-angielsko-sowieckiego układu politycznego, Moskwa zażądała uzupełnienia go o konwencję wojskową, skutecznie grając na czas. Wreszcie kiedy i w tym zakresie była szansa osiągnięcia porozumienia, marsz. Kliment Woroszyłow zażądał zgody Warszawy na przemarsz wojsk sowieckich przez jej terytoria, bynajmniej Polaków do stołu obrad nie zapraszając. Beck twardo i stanowczo odpowiedział ambasadorom państw sprzymierzonych akredytowanym w Warszawie, że warunek sowiecki „redukuje Polskę do roli obiektu martwego”, a rząd polski nie może dopuścić do traktowania swojego „terytorium jako przedmiotu negocjacji między państwami trzecimi”. Ostatecznie ustalono, iż na wypadek agresji niemieckiej Warszawa byłaby gotowa zasiąść do stołu obrad z Sowietami w celu wypracowania życzliwego porozumienia. Delegacja francusko-angielska miała domagać się od Moskwy konkretnego planu współpracy przeciw III Rzeszy.

Tymczasem sprawy toczyły się za plecami Polaków. Francuzi już 21 sierpnia z własnej inicjatywy upoważnili gen. Josepha Doumenca do złożenia oświadczenia, że Warszawa zgadza się na przemarsz wojsk sowieckich przez swoje terytorium, co

nie było zgodne z prawdą, ale oddaje dobrze tendencję ratowania pokoju za wszelką cenę – tym razem kosztem Rzeczypospolitej. Doumenc poinformował o tym stanowisku Woroszyłowa następnego dnia. Wówczas strona sowiecka, dalej grając na zwłokę, zażądała odpowiedzi na pytanie, czy o tym stanowisku wiedzą rządy brytyjski, polski i rumuński. Tym sposobem Stalin dalej przewlekał jałowe pertraktacje, z niecierpliwością oczekując przybycia delegacji niemieckiej z Ribbentropem na czele.

23 sierpnia 1939 r. stanął między ZSRR i III Rzeszą jawny pakt o nieagresji, który został uzupełniony o wiele ważniejszym tajnym protokołem, dzielącym Polskę na dwie części wzdłuż rzek Narwi, Wisły i Sanu oraz wyznaczający strefy wpływów w Europie Wschodniej. Sam pakt o nieagresji był niczym innym jak tylko kwiatkiem do kożucha, a sens układu zawierał się w tajnym protokole. Dzięki sekretarzowi ambasady niemieckiej w Moskwie Hansowi von Herwarthowi treść owego protokołu Amerykanie poznali już następnego dnia. Nikt jednak nie przekazał go stronie polskiej, o niczym nie został poinformowany urzędujący w Moskwie ambasador Wacław Grzybowski. Inna sprawa, że posiadanie tego typu informacji najpewniej w niczym nie zmieniłoby tragizmu sytuacji. Można by co najwyżej głośno krzyknąć. Zapewne byłby to głos wołającego na pustyni...

Ostatnim ważnym dokumentem podpisanym przez polskich dyplomatów przed rozpoczęciem działań wojennych był zawarty w Londynie pakt o wzajemnej pomocy z Wielką Brytanią (25 sierpnia 1939 r.). Był on dopełnieniem gwarancji dwustronnych wynegocjowanych wiosną. Dla Brytyjczyków pakt z Polską był jednakże niczym innym jak kolejnym dyplomatycznym naciskiem na Berlin, aby zaniechał agresywnych planów. Zachęcał też Polaków do stawiania zbrojnego oporu, dając tym samym Francji i Anglii czas na lepsze przygotowanie się do ewentualnego konfliktu z III Rzeszą. Praktyczny jego efekt

polegał na tym, że Hitler na krótko się zawahał i przesunął datę ataku na Polskę z 26 sierpnia na 1 września. Patrząc z dłuższej perspektywy, pakt otworzył drogę do współpracy politycznej i militarnej z Wielką Brytanią w czasie II wojny światowej.

Warto dodać, że pokój za wszelką cenę próbował ratować w ostatnich dniach sierpnia także papież Pius XII za pośrednictwem nuncjusza w Warszawie Mgr. Filippo Cortesiego, proponując oddanie Niemcom Gdańska i Pomorza. Tego typu propozycje przypominały konferencję monachijską, z tą tylko różnicą, że teraz miejsce Czechosłowacji zajęłaby Polska. I tym razem z ust Becka padło stanowcze „nie”.

1 września 1939 r. rozpoczęła się agresja hitlerowska przeciwko Rzeczypospolitej.

* *

Kto wie, czy za ostatni, wcale nie miały sukces dyplomacji polskiej kierowanej przez ministra Becka nie należy uznać wypowiedzenia 3 września 1939 r. Niemcom wojny przez Wielką Brytanię, a kilka godzin później przez Francję, do czego ani Londynowi, ani zwłaszcza Paryżowi nie było pilno. Trzeba było niemałych wysiłków ze strony akredytowanych nad Tamizą i Sekwaną dyplomatów polskich, a zwłaszcza ambasadora Juliusza Łukasiewicza, aby ten pozornie oczywisty obowiązek sojuszniczy został wypełniony. W ten sposób umiędzynarodowiono samotny bój Polaków. W gruncie rzeczy w tym właśnie fakcie szukać należy zachowania ciągłości państwa polskiego i legalizmu jego władz na wychodźstwie. Miał rację Beck, pisząc już z Rumunii do swojego przyjaciela i zarazem współpracownika, ambasadora przy Kwirynale Bolesława Wieniawy-Długoszowskiego, że bardzo mu zależało na tym, aby sprawa polska nie była znowu sprowadzona do poziomu komitetów, tak jak to było w czasach poprzedniej wojny światowej

i funkcjonowania Komitetu Narodowego Polskiego, a została utrzymana na poziomie rządu.

Na koniec rozważań wypada odnieść się do jeszcze jednej, zasadniczej wszak kwestii, podnoszonej zresztą w literaturze naukowej, pamiętnikarskiej i publicystyce od wielu dziesięcioleci. Dziś wydaje się ona zresztą już raczej oczywistą, aczkolwiek wciąż wywołuje dyskusje. Jest nią odpowiedź na pytanie, czy była alternatywa dla polskiej polityki w latach 30., a zwłaszcza w przededniu II wojny światowej. W literaturze Polski Ludowej przedstawiano ją prosto – trzeba było szukać przyjaciół blisko, a nie daleko, a zatem należało wejść w układy sojusznicze z ZSRR i wraz z nim podjąć walkę przeciw hitlerowskim Niemcom. Za kwestię bezdyskusyjną i oczywistą uznawano fakt, że Sowiety od początku do końca rzeczywiście chciały walczyć przeciw III Rzeszy. Z drugiej strony podnoszono opcję odwrotną. Należało zatem przyjąć propozycję Hitlera wspólnego marszu na Wschód. Nie doszłoby do zawarcia paktu Ribbentrop-Mołotow. W ten sposób uniknięto by ogromu strat, a nawet można byłoby to czy owo zyskać, np. na Ukrainie. Gdyby Hitler zaczął przegrywać, można by wycofać się z tego układu i wystąpić przeciw Rzeszy. Tu podawano przykłady takich państw jak Rumunia, Węgry a nawet Włochy. Źródłem pierwszego poglądu była ideologia, zaś drugiego znajomość późniejszych wydarzeń, których nawet najbardziej przenikliwe umysły nie były w stanie przewidzieć w 1938 czy 1939 r. Nie wdając się w szersze polemiki, które zresztą były już podejmowane wielokrotnie, warto zwrócić uwagę tylko na jeden aspekt. Przyjęcie przez Polskę jednej z wyżej przedstawionych opcji, przy słusznym założeniu, że konflikt światowy nie mógł ominąć Rzeczypospolitej, włączonych między dwa państwa totalitarne, musiało skutkować bolesnymi cesjami terytorialnymi bądź na rzecz ZSRR, bądź

na rzecz III Rzeszy. Nie było wątpliwości, a ilustrowały to choćby wydarzenia z 1920 r., że w pierwszym przypadku chodziło o tereny na wschód od Bugu (linia Curzona), zaś w drugim, co równie dobrze ilustrowały wydarzenia z lat 1938–1939, co najmniej o Pomorze oraz Gdańsk, a niewykluczone również, że o Górny Śląsk i Wielkopolskę. Czy jakkolwiek rząd Rzeczypospolitej, niezależnie od barw politycznych, może z wyjątkiem grupki komunistów realizujących polecenia płynące z Moskwy, byłby skłonny pójść na terytorialne ustępstwa, które w gruncie rzeczy były prostą drogą do utraty podmiotowości i niezależności? Pytanie to jest aż nadto retoryczne.